FILM

NR 45 (2156) ● 11 XI 1990 ● ROK XLV ● CENA 2500 ZŁ

10 DNI, KTÓRE WSTRZĄSNĘŁY REPERTUAREM

POGROMCY DUCHÓW

ROBIN WRIGHT

JANUSZ GAJOS
(str. 6)
Fot. Renata Pajchel

Z KRONIKI

GENEWA. Pozakonkursowy pokaz „300 mil do nieba" Macieja Dejczera zainaugurował festiwal „Gwiazdy jutra"; w jury zasiadał Krzysztof Zanussi. **WARSZAWA.** Wpływy ze sprzedaży za granicę „Przesłuchania" Ryszarda Bugajskiego przekroczyły pół miliona dolarów. **ŁÓDŹ.** 14 filmów fabularnych powstanie w tym roku w Wytwórni Filmów Fabularnych; w poprzednich latach realizowano tu średnio dwa razy więcej tytułów. **WARSZAWA.** 30 firm zagranicznych i polskich wzięło udział w IV Międzynarodowej Wystawie „Tele-Audio-Video '90". **PIŁA.** Projekcje 14 filmów fabularnych (część z programu VI Warszawskiego Tygodnia Filmowego), spotkania z reżyserami i forum działaczy DKF-ów odbyły się podczas II Ogólnopolskiego Seminarium Filmowego „Kino lat 80.". **RZESZÓW.** Filmy zrealizowane w goebbelsowskich i stalinowskich wytwórniach filmowych pokazał DKF przy Wojewódzkim Domu Kultury. **KRAKÓW.** 5 maja przyszłego roku, w trakcie Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy Europejskiej rozpocznie działalność Wytwórnia Filmów Telewizyjnych w Łęgu, budowana z przerwami od 15 lat. **WARSZAWA.** Filmy z lat 1957–82 składają się na program IV roku Akademii Filmowej, stworzonej przez Aleksandra Jackiewicza; wykłady prowadzić będzie dr Andrzej Werner. **KRAKÓW.** 50-minutowy fabularyzowany dokument o Stanisławie Lemie „Przypadek i ład" realizuje Adam Ustynowicz dla BBC 2.

Nowa ustawa o łączności

TELEWIZJA DLA KAŻDEGO

Sejm uchwalił ustawę o łączności, która znosi monopol państwa na usługi telekomunikacyjne, pocztowe oraz nadawanie programów radiowych i telewizyjnych. Po uzyskaniu zezwolenia ministra łączności będą mogły powstawać niezależne od państwa stacje radiowe i telewizyjne. Zezwolenie takie otrzymają tylko firmy polskie lub spółki z udziałem zagranicznym nie większym niż 33 procent kapitału zakładowego lub akcyjnego.

Nagroda i premiera

„JANKA" W NIEMCZECH

Serial Janusza Łęskiego „Janka" wyprodukowany przez TVP we współprodukcji z niemiecką WDR otrzymał prestiżową nagrodę telewizyjną 1990 katolickiej organizacji Familienbund oraz pisma „Leben und Erziehen" (Życie i wychowanie) jako najlepsza produkcja dla dzieci starszych. W uzasadnieniu podkreślono trafność w ukazaniu dziecięcych konfliktów i wysoki poziom moralny, zachęcając do tego rodzaju współpracy między telewizjami. Nagrodę wręczała w Bonn prof. dr Ursula Lehr, Minister d/s Młodzieży, Rodziny, Kobiet i Zdrowia, odbyło się także seminarium poświęcone problematyce wychowawczej. Wersja kinowa „Janki" – dwa pełnometrażowe filmy – będzie wyświetlana w telewizji w okresie Świąt i Nowego Roku, zapowiadana jest także kontynuacja serialu.

Po Festiwalu Mrożka w Krakowie

POSTĘPOWIEC W CELULOIDZIE

Postać już niestety nie krakowskiego dramaturga, pisarza, rysownika przedstawia Ignacy Szczepański w godzinnym filmie dokumentalnym pod roboczym tytułem „Według Mrożka". W filmie wykorzystane zostaną fragmenty imprez tegorocznego Festiwalu Sławomira Mrożka w Krakowie, autor „Tanga" będzie odczytywał wyjątki ze swoich opowiadań, zobaczymy go także w trakcie spotkań z publicznością. Operatorem jest Leszek Winnicki, film jest wspólnym przedsięwzięciem zespołu „Wir" warszawskiej Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych oraz telewizji.

Machulski serio

POLSKO-FRANCUSKI V.I.P.

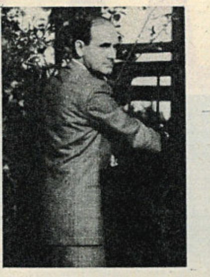

Jan Peszek

Juliusz Machulski rozpoczął realizację zdjęć do filmu „V.I.P." według własnego scenariusza. Akcja rozgrywa się współcześnie w Polsce i Francji i – w przeciwieństwie do poprzednich filmów Machulskiego – nie jest komedią. Bohaterem jest młody muzyk, który zakochuje się w starszej od siebie kobiecie, z pochodzenia Rosjance. Chłopak zostaje wplątany w aferę kryminalną, w którą zamieszane są osoby ze sfer zbliżonych do polskiego ministerstwa spraw zagranicznych.

W rolach głównych Wojciech Malajkat, Liza Machulska, Paul Barge, Jan Peszek, Beata Tyszkiewicz, Krzysztof Majchrzak, Tomasz Mędrzak, Elżbieta Zającówna i Bogusław Sobczuk. Operatorem jest Janusz Gauer, scenografem Dorota Ignaczak, kompozytorem muzyki Krzesimir Dębski, jako kierownik produkcji debiutuje Jan Kaczmarski. Film jest koprodukcją Studia „Zebra" i francuskiej firmy High Speed Films z Paryża.

Wojciech Malajkat i Elżbieta Zającówna

Aktorsko-lalkowy „Dybuk"

W „SEMAFORZE" DLA DOROSŁYCH

Łódzkie Studio Małych Form Filmowych „Se-Ma-For" podejmie w przyszłym roku nietypowe dla swojej produkcji przedsięwzięcie. Powstanie tu fabularny film aktorsko-lalkowy na motywach wystawionej po raz pierwszy w 1920 roku i wielokrotnie później wznawianej sztuki Szymona An-skiego „Dybuk". Adaptacji tej niezwykłej opowieści o chłopcu, który po śmierci jako dybuk (postać z żydowskich wierzeń) wstępuje w ciało córki bogacza, dokonał niedawno Andrzej Wajda w Starym Teatrze w Krakowie. Autorami scenariusza do filmu są Sławomir Grabowski i Jacek Sarnacki, który zadebiutuje równocześnie jako reżyser filmu pełnometrażowego.

Nowe książki

MÓJ HOLLYWOOD

Michael J. Fox, Bruce Springsteen, Tom Selleck i inne znane postacie amerykańskiego przemysłu filmowego i rozrywkowego są bohaterami gawęd zebranych w książce „Mój Hollywood" Joli Czaderskiej-Hayek, Polki osiadłej w Los Angeles i współpracującej z krajową prasą. Książka ukazała się nakładem KAW w Poznaniu. 240 s., 30 000 egz.

Co dalej ze szkołą w Katowicach?

W SPRAWIE NIEŚLUBNEGO DZIECKA

W artykule „Znowu chmury nad katowicką szkołą" („Film" nr 37) Jarosław Stypa zastanawia się, czy Wydział Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego znajdzie wreszcie bogatego wuja z workiem pieniędzy. Wierzę, że autorem kierowała szczera troska o los Wydziału i że dezinformujący charakter artykułu nie jest skutkiem manipulacji faktami. Nie wierzę jednak, że ktoś może dzisiaj serio traktować alkowianą teorię dziejów, której wykład dał Jarosław Stypa. Potrzebne jest zatem krótkie wyjaśnienie.

1. Wydział Radia i Telewizji powstał w wyniku porozumień zawartych w 1978 r. między Komitetem d/s Radia i Telewizji, a Ministerstwem Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki. Porozumienie to stało w sprzeczności ze statutową działalnością Komitetu: nie miał on uprawnień w zakresie kształcenia. Gdy w 1983 Najwyższa Izba Kontroli stwierdziła bezprawność układu, Komitet musiał zerwać podpisaną z Uniwersytetem Śląskim umowę.

2. Współpraca między Komitetem a Uniwersytetem nigdy nie przebiegała w sposób harmonijny. Wydział był niefunkcjonalną hybrydą, która powstała ze skrzyżowania dwu zupełnie różnych modeli kształcenia: uniwersyteckiego i artystycznego. Ta pierwotna niespójność koncepcyjna jest pierwszą przyczyną większości odczuwanych obecnie problemów.

3. „Nagły rozpad stosunkowo dotąd harmonijnego związku" nie nastąpił – jak twierdzi Jarosław Stypa – po 13 grudnia, lecz znacznie wcześniej. Wtedy mianowicie, gdy wyraźne już symptomy gospodarczego rozpadu kazały władzom Komitetu ds. Radia i Telewizji skontrolować wydatki. W odpowiedzi na zerwanie w 1983 r. przez Komitet porozumienia zawartego z Uniwersytetem, minister szkolnictwa zawiesił działalność Wydziału Radia i Telewizji. Władze Wydziału długo i wytrwale broniły się wówczas przed fatalnymi konsekwencjami tej decyzji, budząc szacunek całej wydziałowej społeczności.

4. Pracę Wydziału wznawiano stopniowo. Ponieważ kształcenie kadr twórczych dla telewizji pozostawiono w gestii Ministerstwa Edukacji Narodowej, podejmowano inicjatywy mające na celu zawarcie nowej umowy z Komitetem d/s Radia i Telewizji. Nie przyniosły one jednak rezultatów. Prowadzenie rozmów na ten temat uniemożliwiły powstałe w Komitecie bariery biurokratyczne. W efekcie władze Uniwersytetu obraziły się na kierownictwo Komitetu i zaczęło się mówić o „niespłaconych alimentach".

5. Nowe czasy wymagają nowych rozwiązań, które powinny stwarzać legalne, prawne, systemowe gwarancje współpracy Wydziału z Komitetem. Na początku tego roku w Komitecie powstał projekt porozumienia między Ministerstwem Edukacji Narodowej, Ministerstwem Kultury i Sztuki oraz Komitetem d/s Radia i Telewizji, który określa warunki i zasady rozwoju szkolnictwa kształcącego kadry dla Komitetu.

Do czasu wprowadzenia owych systemowych rozwiązań, kierownictwo Komitetu złożyło władzom Wydziału ofertę ścisłej współpracy z powołanym w lutym br. Studiem im. Andrzeja Munka. Studio uzyskało bowiem środki finansowe i produkcyjne, które mogą być wykorzystane na realizację warsztatowych prac szkolnych, etiud i dyplomów studenckich. Oferta była odpowiedzią na kierowane do władz Komitetu prośby o finansowe wsparcie Wydziału Radia i Telewizji. Współpraca ze Studiem jest jedyną formą pomocy, jakiej „odnowiony Radiokomitet" może obecnie udzielić szkołom kształcącym kadry dla telewizji bez gwałcenia obowiązujących ustaw. Kierownictwo Wydziału odrzuciło tę propozycję, przedstawiając w dodatku w zupełnie fałszywym świetle intencje władz Komitetu. Powstały impas skłonił z kolei „Solidarność" do podjęcia własnych działań. I tak:

– W kwietniu br. gościła na Wydziale Krystyna Mokrosińska kierująca pracami Studia im. Andrzeja Munka. Celem wizyty było wyjaśnienie powstałych wcześniej nieporozumień wokół proponowanych zasad współpracy ze Studiem. Istniało niebezpieczeństwo, że ofiarami tych nieporozumień padną studenci, którym Wydział nie gwarantuje już żadnych środków finansowych na ich prace. W spotkaniu tym uczestniczył szef Katowickiego Ośrodka Telewizyjnego Wojciech Sarnowicz, który ze swej strony zaoferował współpracę z Wydziałem. Ze strony władz Wydziału reakcji na tę propozycję nie było!

– Na początku maja zaproszony został na Wydział minister Juliusz Burski; jego propozycje otwierały całkowicie nowe perspektywy i zostały przyjęte z aplauzem przez znaczną część środowiska. W spotkaniu brał również udział dyrektor Ośrodka Doskonalenia Zawodowego Michał Bogusławski. Reprezentował on kierownictwo Komitetu d/s Radia i Telewizji, które wyraziło gotowość wsparcia idei min. Burskiego. Władze Wydziału ograniczyły się do wyrażenia umiarkowanego zainteresowania ofertami.

– Również w maju byli na Wydziale przedstawiciele Ministerstwa Edukacji Narodowej, aby zapoznać się z sytuacją Wydziału i uruchomić działania zmierzające do przywrócenia mu normalnych warunków pracy.

Nie jest to być może dużo. Ale nie ma żadnego powodu, aby te inicjatywy i oferty dezawuować poprzez przytaczanie lekceważącej opinii władz Wydziału, które – jak pisze Jarosław Stypa – „chcą jednak poczekać na jaśniej sformułowane propozycje". Oczekiwanie na „hojnego wuja" jest kosztowną rozrywką.

ALINA MADEJ

ZA TYDZIEŃ

- **Nowy nauczyciel jest zarazem szamanem i świętokradcą:** STOWARZYSZENIE UMARŁYCH POETÓW
- PO ZJEŹDZIE STOWARZYSZENIA FILMOWCÓW: **Nie ma zgody**
- **Mało brakowało, a tegoroczny „Złoty Lew" wenecki miałby rudą grzywę dziecka-odmieńca:** ANIOŁ PRZY MOIM STOLE
- RYZYKO URODZONEGO GRACZA: **Nick Nolte**
- **Wilkołaki, strzygi, potwory – takie bestiarium materializm socjalistyczny traktował z pogardą. Na całość poszedł dopiero Marek Piestrak:** POWRÓT WILCZYCY
- WOODY ALLEN **czyli wariacje na kamerę, mikrofon i aktora**
- ŚWIĘTY I GRZESZNIK: **o nowym filmie Krzysztofa Zanussiego „Życie za życie"**
- **Jako Sammy Jo wniosła do światka „Dynastii" prowokującą i zmysłową młodość:** HEATHER LOCKLEAR **w portrecie na życzenie i na okładce**

KONKURENCI

Ostatnio nam ich przybyło. „Media reporter", dwutygodnik na bazie „Ekranu". „Premiera", miesięcznik wydawany w Katowicach (redaktor naczelny – nasz wieloletni współpracownik, J. F. Lewandowski). „bestSeller", miesięcznik szkoły filmowej w Łodzi. Miesięcznik „Telewizja".

Lubimy konkurencję. Mobilizuje nas, wyręcza w pilnowaniu, żebyśmy nie przysnęli. Inna sprawa, czy lubiąc konkurencję lubi się bez zastrzeżeń konkurentów. I czy oni zawsze dają się lubić.

Lubimy „Premierę", chociaż nazwała nas, a chyba także bratnie „Kino" – „luką". („Być może, że pismo spełniające rolę przewodnika po świecie filmu ma szansę zapełnienia czytelniczej luki"). Nie jesteśmy obrażalscy. A ponieważ lubimy, robiło nam się coraz smutniej, kiedy czytaliśmy recenzję z „Ucieczki z kina »Wolność«". „Jedyne, co dziwi, to dlaczego (...) w formie aluzji? Marzyłby się tu krwisty, realistyczny dramat". Co przeczytawszy, zmartwiliśmy się szczerze.

Budzi naszą sympatię „bestSeller", w którym „nieporządek miły, niestare były rączki" – itd. Może polubimy jeszcze bardziej, kiedy Zosi z rok przybędzie.

„Telewizja": czytaliśmy oszołomieni. Nareszcie znamy odpowiedź na parę pytań, które spędzały nam sen z powiek: z ilu osób składa się małżeństwo, ile kosztuje uśmiech Zdzisławy Gucy, ile zarobił w ciągu roku Bill Cosby, ile bierze za start Car Levis, ile wynosi majątek sułtana Brunei, ile, ile, ile – itd. Nigdy by nam do głowy nie przyszło że może być tyle „ile". A coś nam mówi, że to nie koniec.

„Media reporter": oglądaliśmy z prawdziwą zazdrością. Mają bardzo dobry papier. Zagraniczny, cienki, błyszczący. Naprawdę doskonały papier.

Konkurenci; życzymy zdrowia i tłustych dzieci. Własnych. O ukochane nasze postaramy się, najlepiej jak umiemy, dbać nadal sami.

REDAKTOR/KA

Gale Hansen w „Stowarzyszeniu Umarłych Poetów"

Caswell Canyon, jedna z setek
„rynien" przecinających pustkowia,
które w „Chinatown" przemierzał
Jake Gittes
szukając dowodów
popełnionego tu morderstwa.
Po latach w tej samej scenerii
znaleziono ofiarę autentycznej zbrodni.
W PIĄTEK, TRZYNASTEGO: **s. 18**

Jack Nicholson (z prawej) w „Chinatown"

Dla tego jednego filmu warto było
przyjechać z drugiego końca Polski.
DZIESIĘĆ DNI,
KTÓRE WSTRZĄSNĘŁY REPERTUAREM: **s. 4**

„Dobra kuchnia to sztuka,
a ja uważam się za koneserkę".
ROBIN WRIGHT: **s. 22**

Marcy Walker, Robin Mattson i Robin Wright w „Santa Barbarze"

Duchy mają coś z oszalałego
Królika Rogera. Rozgardiasz,
jaki wywołują, jest bardzo śmieszny
i bardzo kinowy.
POGROMCY DUCHÓW: **s. 10**

Harold Ramis, Dan Aykroyd i Bill Murray

SPENGLER
STANTZ

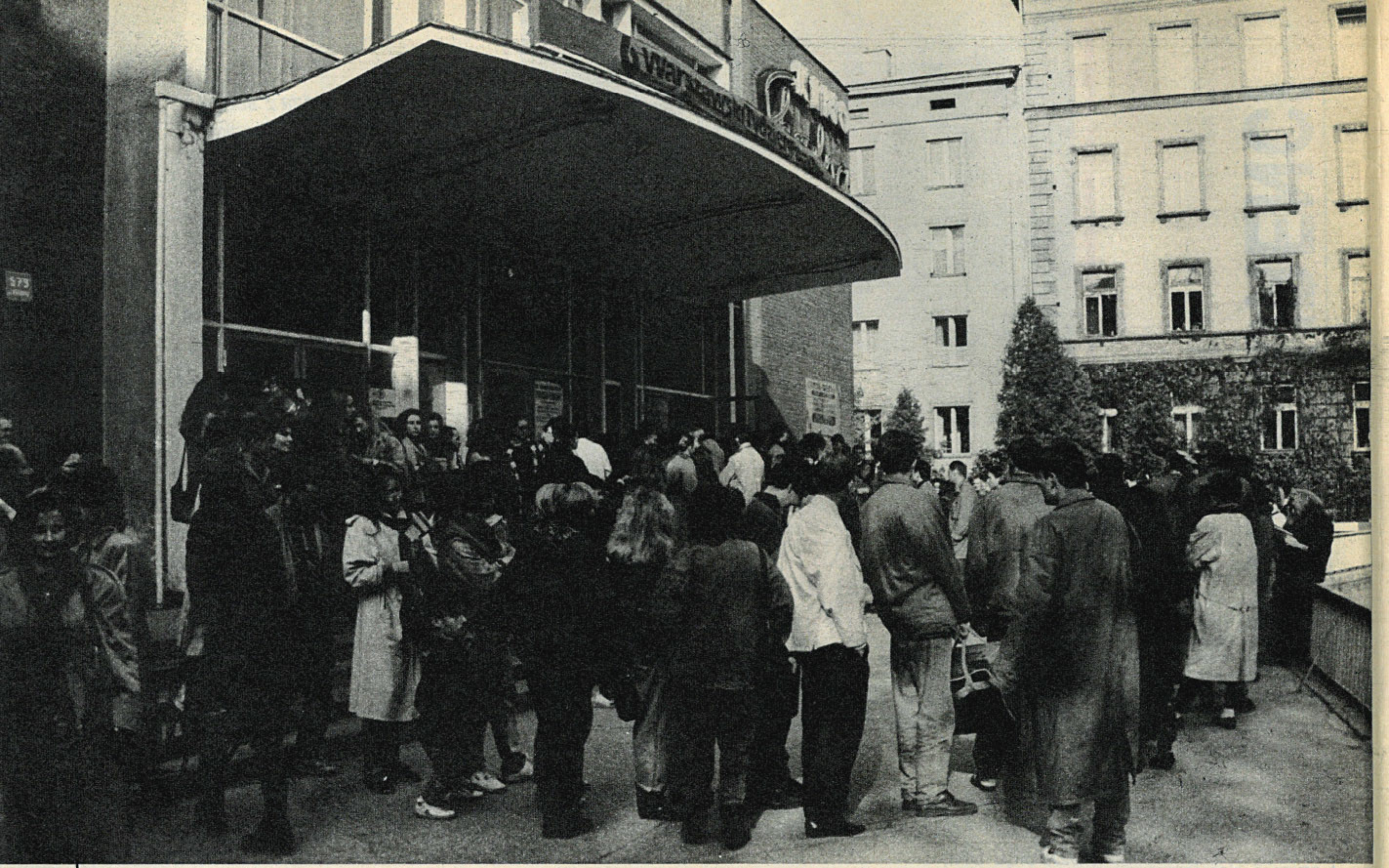

Nie było Stallone'ów i Schwarzeneggerów, a kina były pełne Fot. M. Bonk

10 DNI, KTÓRE WSTRZĄSNĘŁY REPERTUAREM

Podobno hollywoodzki „statystyczny widz", dla którego powstaje przytłaczająca większość amerykańskich filmów, to wychowany na cywilizacji obrazków czternastoletni Murzyn, niedouczony, bez większych perspektyw na jakąkolwiek pracę w życiu; człowiek bez złudzeń, nie dający się zbyć byle czym, oszukać. Człowiek rozwścieczony, stojący przed wyborem, że albo on kogoś zarżnie, albo pójdzie do kina, gdzie inni będą się zarzynać na ekranie... Tak przynajmniej „rozczarowywał" zebranych w DKF „Kwant" warszawskich kinomanów Andrzej Żuławski trzy lata temu. Dziś jeden rzut oka do repertuaru zadaje kłam malkontentom, upierającym się, że wciąż jesteśmy we wszystkim o sto lat za Murzynami. Bo w kinach już nie! A rzucając – przypadkiem – drugim okiem na afisz „Supronlandu" zapowiadający krwawe walki współczesnych gladiatorów oraz zapaśnicze zmagania kobiet, można wręcz popaść w żywiołowy optymizm: już wkrótce wszyscy będziemy Murzynami!

I wszystko byłoby okey, gdyby nie dziesięć dni, które znów wstrząsnęły repertuarem, niespodziewanie wystawiając za drzwi czterech warszawskich kin wszystkich Schwarzeneggerów, Stallone'ów, a nawet samego Batmana. Nie opróżniając przy tym – co ciekawe – widowni.

Kto przyszedł? Na przykład aktorzy – zauważono przed ekranem Aleksandra Bardiniego, Krzysztofa Majchrzaka, Mariana Kociniaka, oraz Martę Klubowicz (przyszła zobaczyć samą siebie w niemieckim filmie „Wszędzie dobrze gdzie nas nie ma", bo producent nie przysłał jej kasety). Praw płci pięknej na widowni broniła także „Teleexpressowa" Magdalena Mikołajczak oraz cały zastęp bardzo przyjemnych dla oka innych dziewcząt, które na co dzień, same chodzić do kina po prostu się boją.

– Większość ludzi, z którymi muszę się stykać podczas dyżurów w pogotowiu jest pijana. – Maciej Jagielak, kochający kino lekarz ortopeda mówi o „Tygodniu..." z autentyczym entuzjazmem. Ma naprawdę dosyć wideo, w kinie bywa przynajmniej raz w tygodniu, lecz męczy go już jednostajny ostatnio amerykański repertuar, grupujący dość charakterystyczny typ widowni. – A tutaj nikogo takiego. Inni ludzie, inne filmy. Przyjemniej, czyściej, porządniej. Oglądanie filmu w kinie ma coś z nabożeństwa, wymaga skupienia. Śmiech powinien być śmiechem, a nie rechotem.

Niechęcią do „wydeo" tłumaczy się również Sławomir Rogowski, wywodzący się z „Hybryd" rzecznik prasowy Pagartu, który już od trzech lat nie bierze udziału w organizowaniu „Tygodnia..." – jest jedynie widzem. Normalnie do kina chadza rzadko, i bardzo wybiórczo – to skutek dziesięcioletniego obcowania z dekaefem Romana Gutka. Gutek zdołał sobie – zdaniem Rogowskiego – wychować własną widownię. Taką, która nie wychodzi rozczarowana z kina, narzekając, że za mało spaliło się samochodów, lub momenty były nieostre. Zdołał bo jest to człowiek pory-

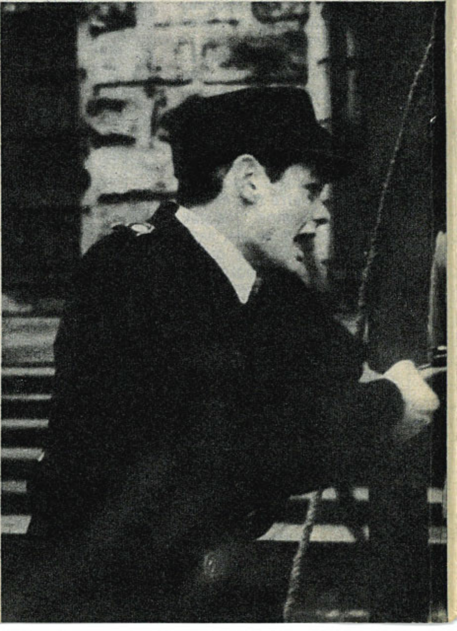

6
Warszawski
Tydzień Filmowy
Warsaw
Film W

Bywał też profesor Aleksander Bardini Fot. J. Ostałowski

wający i cokolwiek szalony, przypominający nieco postacie z „jego" najlepszych filmów. Na pierwszym miejscu w tym roku Rogowski stawia „Stowarzyszenie Umarłych Poetów". Poza tym: „Jezus z Montrealu", „Monsieur Hire", „Good Morning Vietnam", „Mystery Train", „Sidewalk Stories", „Ofiary wojny". Dla kontrastu o obejrzanym niedawno „Batmanie" mówi z pogardą, że jest to komercyjne kino do wychowywania młodzieży, gdzie w walce dobra ze złem, coca cola zwycięża gumę do żucia.

Warszawski Tydzień Filmowy przestał być warszawski:

Aneta Zwolska i Kasia Klimontówna, uczennice LO w Sandomierzu przyjechały specjalnie w nagrodę za najlepszą pracę w Konkursie Wiedzy o Filmie.

Aneta: Najbardziej podobało mi się „Stowarzyszenie Umarłych Poetów". Uczniowie przyjmują tu system wartości wychowawcy. Na ogół widzę co innego: młodzież odrzuca wszystko co proponuje nauczyciel. Jest nad czym pomyśleć.

Kasia: Wracamy z pokazów autobusem 125. Zatłoczony, rzadko chodzi. Wczoraj wydał mi się wspaniały: po takim filmie jak „Stowarzyszenie Umarłych Poetów" wszystko wydaje się wspaniałe. Gdyby w programie „Tygodnia..." nie było nic więcej – dla tego jednego filmu warto byłoby przyjechać z drugiego końca Polski.

„Stowarzyszenie Umarłych Poetów" Petera Weira zdobyło nagrodę publiczności

Warszawski Tydzień Filmowy minął w oszałamiającym tempie szesnastu seansów dziennie. Być może kilka filmów znajdzie się w codziennym repertuarze kin. Miejmy nadzieję, że Gutek nadal będzie robił swoje. Ktoś mądry przecież napisał, że każdy jest odpowiedzialny za to co sobie oswoił...

**PAWEŁ
TOMCZYK**

Ta historia zdarzyła się naprawdę

Niespodzianką Warszawskiego Tygodnia Filmowego był pokaz najnowszego filmu Agnieszki Holland „Europa, Europa". Jest to film produkcji francusko–niemieckiej, zrealizowany został prawie w całości na terenie Polski, nosił roboczy tytuł „Hitlerjugend Salomon". Agnieszka Holland opowiada historię kilkunastoletniego żydowskiego chłopca, który po 17 września 39 r. znalazł się na terenach Polski zagarniętych przez Armię Czerwoną, a po wybuchu wojny niemiecko–radzieckiej, podając się za Niemca, trafił do szkoły Hitlerjugend. Po projekcji w kinie „Skarpa" Agnieszka Holland spotkała się z widzami. Oto co powiedziała:

„Europa, Europa" Agnieszki Holland

– Kanwę filmu stanowią wydarzenia prawdziwe, bohater filmu żyje dziś w Izraelu, nazywa się Perel. Zdarzyło mu się mniej więcej to wszystko, co pokazałam na ekranie. Wpadłam na trop tej historii przypadkowo, przeczytałam w gazecie krótki, autobiograficzny zapis wojennych losów bohatera. Perel przedtem nie opowiadał o tym nikomu, nawet najbliższej rodzinie (ma żonę, pochodzącą z Polski i dwóch synów). Dopiero na starość, po zawale serca, zdecydował się przełamać milczenie, zdjąć z siebie ciężar przeszłości. Obecnie pisze książkę.

Pojechałam do Tel-Awiwu, poznałam Perela i jego rodzinę. W domu mówi się po polsku, synowie, dwaj wysocy blondyni, są już dorośli. Ojciec mówi do nich: gdybym ja wyglądał tak jak wy, nie miałbym się wtedy czego bać... Do dziś patrzy na świat takimi zdziwionymi oczami, boi się, że gdyby podobne czasy miały się powtórzyć, już nie mógłby udawać, że nie jest sobą.

Nie najmniej dziwną częścią tej historii jest jej zakończenie. Otóż Perel po opublikowaniu swej krótkiej biografii dostał z RFN-u zaproszenie na koleżeński zjazd absolwentów owej szkoły Hitlerjugend, w której, ratując życie, uczył się jako rzekomy Niemiec. I pojechał! Przywitali go serdecznie, w tonacji: aleś nas oszukał! Ale myśmy i tak czuli, że coś jest z tobą nie tak! Na podobnym zjeździe śpiewa się piosenki z lat młodości; oni też śpiewali, tylko że były to piosenki hitlerowskie... Perel śpiewał razem z nimi i nawet się wzruszył.

Nakręciliśmy taką scenę, ale ostatecznie nie weszła do filmu. Wycięłam ją, bo ludzie by nie zrozumieli, dlaczego Perel na ten zjazd pojechał. Ja też tego nie rozumiem. Co najdziwniejsze – on również.

A więc wycięłam tę scenę. Został tylko, w zakończeniu filmu, jej szczątek: prawdziwy Perel, stary człowiek, śpiewa hebrajską piosenkę. Miała najpierw przebijać przez tamte, hitlerowskie. Montowałam film w czasie festiwalu w Cannes, gdzie Wajda pokazał „Korczaka". Część zachodniej prasy napadła wtedy na niego, oskarżając film o antysemityzm. Zdecydowałam się wyciąć końcową scenę z mojego filmu również dlatego, że zaczęłam się obawiać, iż mogliby wytoczyć podobne oskarżenia przeciwko „Europie, Europie". Minęło kilka miesięcy, historia toczyła się dalej. Ostatnio Izraelczycy zastrzelili w Jerozolimie 21 Palestyńczyków. I teraz słyszę, że kończąc film hebrajską piosenką, mogę się narazić na oskarżenie o syjonizm...

Polska premiera filmu odbędzie się prawdopodobnie w styczniu. We Francji wchodzi na ekrany już, w Niemczech, w Izraelu, Stanach Zjednoczonych – mam nadzieję, że niebawem. Myślę, że do Stanów Zjednoczonych zaproszą również Perela. Będzie zapewne opowiadał na spotkaniach, jak to było naprawdę. Ale mnie się wydaje, że naprawdę było tak, jak w moim filmie...

**Notowała
BOŻENA JANICKA**

Rozmowa z JANUSZEM GAJOSEM

Kiedyś skończy się zabawka

● Odbierał pan w tym roku w Gdyni nagrodę za wielkie role w znakomitych filmach – w „Ucieczce z kina »Wolność«" (recenzja na str. 9) i „Przesłuchaniu". Jednocześnie o innych filmach pisano, że to dno, pogrzeb polskiego kina. Przyzna pan, że życie wyreżyserowało to dość perfidnie.

– Rzeczywiście. Sądzę, że gdyby konkurencja była większa, większe byłyby też emocje na festiwalu. Nagrody, które zebrał film Marczewskiego są olbrzymią satysfakcją dla niego i dla mnie. Gdyby ich jednak zabrakło, to i tak nie straciłbym poczucia, że uczestniczyłem w przedsięwzięciu bardzo ważnym dla polskiego filmu i dla moich doświadczeń zawodowych. Wielu filmów przedstawionych na festiwalu nie widziałem, myślę jednak, że dziennikarze, tak surowi w ocenach, korzystają z przywileju przesady. Mamy okres przejściowy, zdezorientowani są i filmowcy i widzowie. Wierzę, że polskie kino nadal stać na interesujące filmy które znajdą publiczność, bawiącą się na razie amerykańską zabawką do niedawna przecież zabronioną.

● Powróćmy do „Przesłuchania", filmu-legendy?

– Szczerze mówiąc, miałem duże wahania czy przyjąć rolę majora UB w tym filmie. Obawiałem się, że trudno będzie mi przełamać wewnętrzny opór wobec tej postaci; jest to w końcu rodzaj potwora. To był tak monolityczny wizerunek zła, iż obawiałem się, że nie znajdę żadnej szczeliny, aby się dostać do jego wnętrza. Robiliśmy z Bugajskim wszystko, aby tę postać „jakoś" uczłowieczyć. Najistotniejszym argumentem za przyjęciem roli było to, że „Przesłuchanie" wydawało się od razu czymś więcej niż jeszcze jednym filmem, w którym rozgrywa się jakiś ludzki dramat. Niezależnie od tego, że scenariusz stwarzał dużą szansę artystyczną, ważny był sens pozaartystyczny. Przystępowaliśmy do realizacji tego filmu w 1981 roku i nie można było wykluczyć, że „Przesłuchanie" przez wiele lat będzie musiało zastępować przekazy historyczne na temat stalinowskiego terroru. Dziś może nas drażnić patos filmu, ale wówczas odczuwaliśmy to jako obowiązek wobec historii, wobec własnej tożsamości.

● Na szczęście, po ośmiu latach od zrealizowania i natychmiastowego uwięzienia „Przesłuchania", filmy fabularne nie muszą zastępować źródeł historycznych. Nadszedł czas dla utworów takich jak „Ucieczka z kina »Wolność«". Scenariusz musiał się panu wydać niekonwencjonalny.

– Przeczytałem go jednym tchem. Autor zaimponował mi fantazją, inteligencją. Spotkanie z samym Marczewskim, nawiasem mówiąc pierwsze w życiu, ostatecznie mnie przekonało. Później zaczęła się żmudna praca w bardzo bliskim, niemal nieustannym kontakcie z reżyserem.

● Marczewski powracał po dziesięciu latach milczenia. Był w trudnej psychologicznie sytuacji. Czy nie obciążało to atmosfery na planie?

– Zdawaliśmy sobie sprawę czym jest ten film dla Wojtka. Musiał odczuwać presję oczekiwań, zwłaszcza, że postawił sobie zadanie bardzo trudne: pokazać rzeczywistość PRL-u bez szablonu, przewrotnie, w groteskowym skrócie. Ale to go niebywale dopingowało, a stan mobilizacji reżysera przeniósł się na cały zespół. Nie było nerwów, tylko skupienie i pasja.

● Podobno z powodu szczególnie ostrej dyscypliny ekipa nazywała reżysera po kątach „Pol-Potem"?...

– Surowa dyscyplina jest w polskich warunkach technicznych niezbędna. (Scena przechodzenia w inny wymiar wymagała np. ode mnie w czasie ujęcia stania przez sześć dni w jednym miejscu). Reżyser musi więc być trochę aniołem, trochę policjantem.

● „Ucieczka z kina »Wolność«" prowokuje do osobistego rozliczenia się z epoką PRL-u. Jak by taki rozrachunek wyglądał w pańskim wydaniu?

– Byłem tak jak i pan poddany presji tej rzeczywistości, ja trochę dłużej. Jak miliony ludzi próbowałem znaleźć sobie w niej miejsce. Wykonywałem najlepiej jak potrafię swój zawód. Był to jakiś sposób przeciwstawienia się absurdowi, który istniał dokoła. Jak miliony ludzi byłem przeciw, buntowałem się ale nie tak spektakularnie jak aktorzy w filmie Marczewskiego.

● Dziś mamy już wolność, a tymczasem kino i teatr nie wiedzą co z nią zrobić.

– Ironia historii warta jest następnego groteskowego filmu. Ludzie, którzy potrafili porozumiewać się z widzami „za komuny", teraz są bezradni, sparaliżowani.

● O jakiej roli filmowej myśli pan dzisiaj, po zagraniu prezesa radioko-

„Ucieczka z kina »Wolność«" Wojciecha Marczewskiego

„Przesłuchanie" Ryszarda Bugajskiego

Fot. R. Sumik

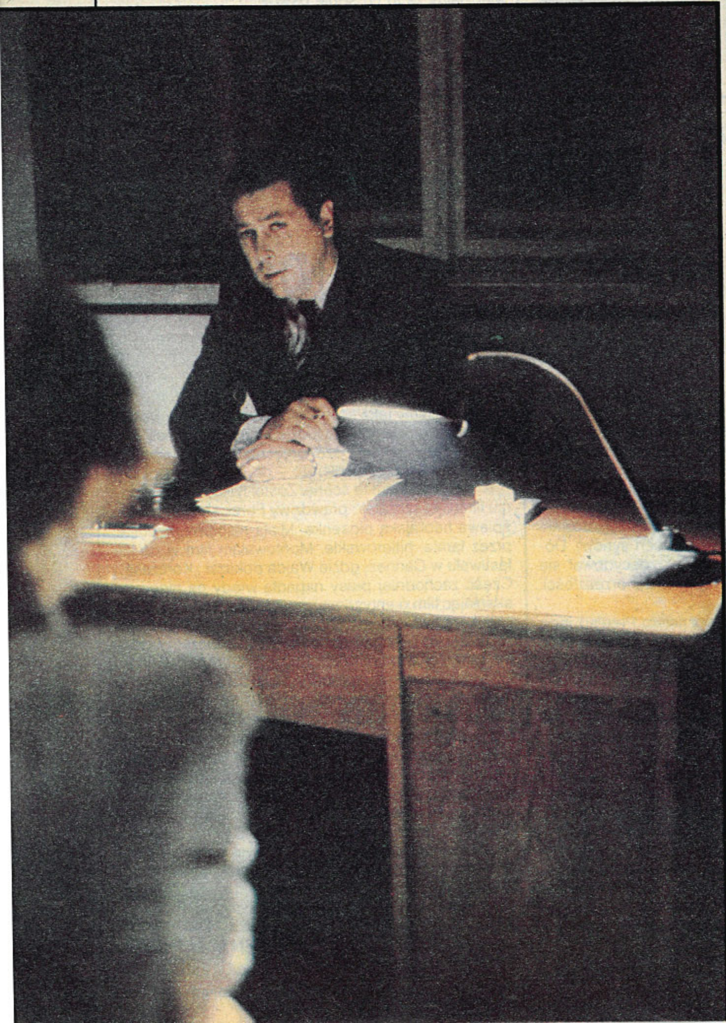

mitetu, ubeka i cenzora, modelowych postaci minionej epoki?

– Najciekawszy byłby dramat nieprzystosowania do wolności. Bohaterem mógłby być artysta a może zmęczony, szary człowiek zaskakiwany tym co się dzieje w polityce, w gospodarce. Ktoś, kto nawet nie zdążył nacieszyć się wolnością.

● **Od kilku lat ma pan znakomitą passę. Świetne role filmowe, teatralne i telewizyjne, nagrody. Droga do tego była jednak, tak mi się przynajmniej wydaje, długa i kręta...**

– Tak, poznałem i smak wczesnej „naiwnej" popularności i smak zapomnienia, czasem lekceważenia. Później przyszła faza stopniowego zdobywania takiej pozycji jaką mam dziś, pozyskiwania ludzkiego szacunku. Przez ten czas nabrałem dystansu do niepowodzeń i do sukcesów. Bardzo podoba mi się to, co powiedział kiedyś Gustaw Holoubek: „Nie jestem tak dobry jak o mnie piszą, ani tak zły jak będą pisać".

Rozmawiał
KRZYSZTOF DEMIDOWICZ

◀ Fot. R. Pajchel

Fot. W. J. Marczewski

amerykańska

Skromny zapracowany szatan

Jako film amerykański można dziś u nas obejrzeć stareńką (1975) imitację anglosaskiego horroru „Dom egzorcyzmów" produkcji włoskiej. Reżyser Mario Bava zasłynął głównie jako twórca seryjnych filmów grozy kręconych w rekordowym tempie w latach sześćdziesiątych. Najgłośniejszy z nich to „Maska demona" (1960), swobodna adaptacja noweli Gogola „Wij", nawiązująca do osiągnięć niemieckiego ekspresjonizmu, ze zjawiskową Barbarą Steele w roli głównej. Był to film eklektyczny i w gruncie rzeczy zabawnie absurdalny.

Podobnie jest w przypadku „Domu egzorcyzmów". Czegoż tu nie ma... Przede wszystkim to dość nieporadna próba zdyskontowania sukcesu „Egzorcysty" Friedkina. Ale historia przystojnej blondynki opętanej przez diabła, bluźniącej i wypluwającej żaby, strzykającej z ust zieloną cieczą to tylko rama głównej opowieści, typowej dla horroru a rozgrywanej w przeklętym domu. Klasyczne motywy krzyżują się w niej i mieszają nadzwyczaj chaotycznie.

Telly Savalas

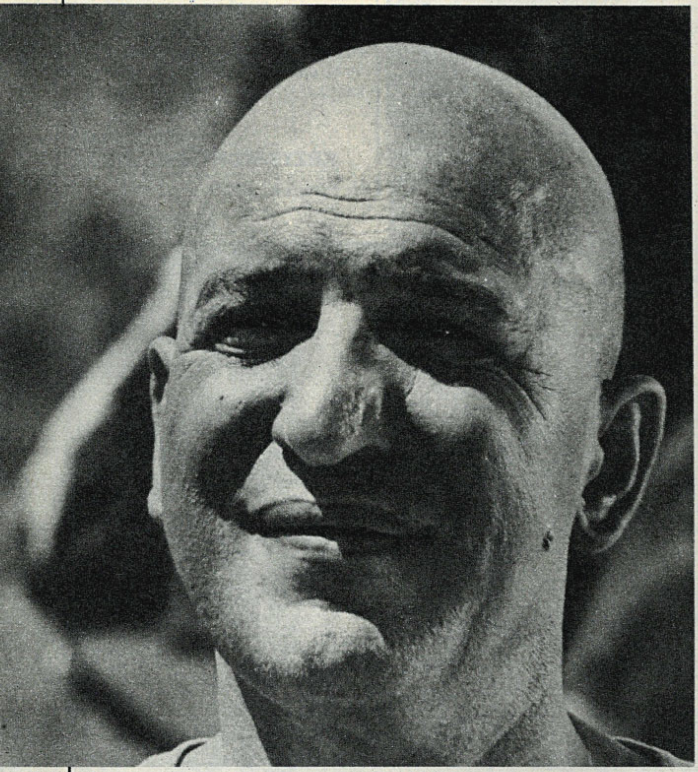

Jest tu i fatum rodzinne, i klimat jak z opowieści E.A.Poe, i obsesje erotyczne, zaprawione freudyzmem, i niejasny motyw Golemów. Wiele scen rozgrywa się w konwencji koturnowego melodramatu, to znowu pikantnej opowiastki obyczajowej. A w tle snuje się z cynicznym uśmieszkiem Telly Savalas w roli – jak o sobie mówi jego bohater – „skromnego, zapracowanego szatana".

Wszystkie te komplikacje można traktować jako tandetną rupieciarnię, ale można też jako przejaw onirycznej poezji. Ten drugi punkt widzenia obronić trudniej – robota filmowa jest tandetna. Wśród widowni przyzwyczajonej do technicznej sprawności Amerykanów efekty specjalne wzbudzają huraganowy śmiech. Muzyka jest nachalna, aktorzy grają z groteskową emfazą.

A jednak... Film budzi coś w rodzaju sympatii swoją monstrualnością. Właśnie poprzez poetykę nadmiaru, przesady, poprzez nieprzystawalność poszczególnych elementów sączy się z ekranu jakaś niedorzeczna poezja, może nawet ironia? Tak jakby stara kultura europejska przedrzeźniała nuworyszowską Amerykę. Tylko czy z filmową Europą najlepiej obcować poprzez stare filmy Mario Bavy?

TOMASZ JOPKIEWICZ

DOM EGZORCYZMÓW

LA CASA DELL'ESORCISMO. Reżyseria: Mario Bava. Wykonawcy: Telly Savalas, Elke Sommer, Robert Alda, Alida Valli, Sylva Koscina. Włochy, 1975.

Kolorowa pułapka

Czary na Karaibach, gorączka złota w Honolulu czy taniec brzucha na pustyni Gobi, cóż za różnica? Informacja zawarta w tytule nie ma istotnego znaczenia. Chodzi tylko o emocjonujący dreszczyk...

...Oto zaprosimy cię, widzu, do miejsc położonych daleko stąd, a tam dziać się będą rzeczy, których nie uświadczysz w naszej zgrzebnej codzienności. Dziś „Czary na Karaibach", więc pokażemy ci egzotyczną, kolorową Martynikę (obowiązkowa walka kogutów), każemy ci pójść tropem dwóch policjantów (jeden z taakim bicepsem), ścigających handlarzy narkotyków – będzie dreszczyk sensacji. Zaaranżujemy kaleczenie lalek, ognisko z ekstatycznymi tańcami – to zew nieznanego, czary... I już ci włosy dęba stają, któż bowiem wie na pewno, co to takiego voo-doo. A zaplanowaliśmy jeszcze jeden, jakże atrakcyjny dreszczyk: oto panie i panowie w szponach namiętności, a my nie odwracamy się wstydliwie. Damy ci, widzu, nacieszyć oczy, a jednocześnie nie pozwolimy, byś poczuł się klientem firmy oferującej pornusy. Gdzież tam. My oferujemy folklor. Geograficzny, kulturowy, erotyczny. Tylko u nas...

Lecisz więc posapując z podniecenia – i dobrze, i już cię mamy, mały, niedouczony, zakompleksiony prowincjuszu. Potrzebujemy cię. Za twoje pieniądze będziemy mogli wyprodukować (albo kupić) następny taki film. Na przykład pod tytułem „Sfinks w Zambezi".

ELŻBIETA DOLIŃSKA

CZARY NA KARAIBACH

BRIGADE MONDAINE: VAUDOU AUX CARAIBES. Reż.: Philippe Monnier. Wykonawcy: Patrice Valota, Jacques Bouanich, Julie Margo. Francja-RFN. 1980.

Jest to niewątpliwie film świetny. Jeden z najlepszych filmów jakie stworzono w polskim kinie ostatnich lat. Być może jest to film, który stanie się jednym z ważnych dzieł polskiej kinematografii.

Ale o tym dowiemy się dopiero za parę lat. Bo to jest tak, że film jest gatunkiem sztuki, który bardzo szybko się starzeje. To, co było wstrząsające dziś, czasami już jest obojętne jutro. I tylko niektóre z filmów stają się tymi, które były niezwykle znaczące w momencie swego pierwszego życia na ekranie a potem dalej są ważne.

W inny sposób. Nieprzewidywalny nawet dla nas, dzisiejszych widzów.

Dlaczego piszę tak o ostatnim filmie Marczewskiego? Bo spodziewam się, że będzie ważny bardzo długo. Nie przez to co dziś nas w nim najbardziej uderza. Przez coś innego. Jeszcze nie nazwanego.

Mówi się, a zresztą reżyser wyraźnie się do tego w swym dziele przyznaje, że sam pomysł człowieka, który wchodzi w ekran filmowy, sama historia o nagłym ożyciu taśmy filmowej, o tym, że postacie wyświetlane w kinie buntują się i żyją po swojemu – to wszystko jest wzięte z „Purpurowej róży z Kairu". Ale ten amerykański pomysł, też zresztą nie oryginalny bo ściągnięty z jakichś tam innych filmów, zaczyna żyć po polsku. Staje się pretekstem do pokazania tego co my tu dobrze rozumiemy. Tym „czymś" jest istnienie, wina, cierpienie cenzora.

Oczywiście cenzor ten jest w filmie Marczewskiego niezwykle głęboką w swej „cenzorowatości" postacią. Wielki w tym, że jest cenzorem i w tym, że przez ten wybór cierpi. I trzeba oddać sprawiedliwość odtwórcy tej roli, że stworzył chyba coś jeszcze większego niż zapowiadał sam scenariusz filmu. Powiało atmosferą z Bułhakowa. To jest chyba ważniejszy trop niż owo oczywiste pokrewieństwo pomysłu z „Purpurową różą z Kairu" – która jest rodem z Ameryki.

Bo film Marczewskiego jest próbą stworzenia naszej wersji „Mistrza i Małgorzaty".

Niezależną, znakomitą a jednak połączoną ze światem Bułhakowa.

Ludzie przestali się buntować a więc musiała się zbuntować materia. I Marczewski o tym buncie materii w Polsce, w Łodzi, w kinie „Wolność" wspaniale opowiada. Każdy, kto pójdzie do kina, będzie śledził tę historię z zapartym tchem. I co więcej – myślał o niej długo.

Już to samo jest wielkim sukcesem reżysera. Ale ja nie bez powodu przypomniałem Bułhakowa. Na końcu filmu Marczewskiego musiał pojawić się napis. Takim i takim dekretem z takiego i takiego dnia roku 1990 została zlikwidowana cenzura. Gdyby ten film okazał się więc tylko analizą tego, co było w naszej najbliższej historii, a czego już nie ma, byłby ważny ale już powoli umierający. Wielki, zamykający pewien okres – ale już zamykający.

Bułhakowowi – paradoksalnie – było łatwiej. Opowiadał bowiem o „buncie materii" w czasie terroru, który miał wymiar antycznej tragedii. Nasza polska opowieść jest o „buncie materii" w czasach, gdy rzeczywiście ani cenzor ani siły za nim stojące straszliwych środków do uśmierzenia tego buntu nie mają.

Jest to po polsku. Szarawo, szmatławo, nijako. Niby groźnie, ale tak na pół gwizdka.

Co wcale nie znaczy, że nie jest to siłą filmu. Sam problem głównego bohatera – opowieść o tym jak mądry i wrażliwy człowiek stał się świnią, pozostając jednocześnie mądrą i wrażliwą istotą, jest wart wielkiej tragedii. Wszystko w życiu naszego polskiego cenzora stało się przypadkiem, ni z tego ni z owego. Mogło być przecież

Janusz Gajos

Jakaś chwila zapaści i nagle już nie ma odwrotu

Na drugą stronę ekranu

inaczej. Niby nie jest on ani wielkim zbrodniarzem, ani tak strasznych rzeczy nie robi – a z ekranu wieje grozą.

Bułhakow stworzył wielką opowieść o demonicznym czasie. Nawet jeśli demony te pokazuje niby małe biesy. Marczewski opowiada o czasie parcianym.

No i cenzury nie ma. Co z tego filmu dla przyszłych zostanie. Sam naprawdę nie umiem przewidzieć. Bo opowieść o tym jacy to nowi cenzorzy powstają wśród nas i jaka to cenzura zaczyna działać w czasie gdy jej oficjalnie nie ma – tak naprawdę nie jest zawarta w tym filmie.

To zresztą ciekawe, że Marczewski mając, jak myślę, łatwą okazję za pomocą paru dokrętek dokonać owego uwspółcześnienia i dać nam do zrozumienia „a teraz nadchodzi czas innego cenzora" – wyraźnie z tej możliwości zrezygnował. Co więcej napisem o zniesieniu cenzury podkreślił historyczność filmu. Jest w tym duma i pewność reżysera. Myślę że powiada nam:

– Nie próbuję tu was łapać na łatwą aktualność. To było. Ale opowiedziałem to tak, że będzie wciąż dla was ważnym, jak opowieści o królach, których już nie ma a jednak są dla was współczesne. Bo zostały dobrze i głęboko opowiedziane. Jak książki związane każdym szczegółem z jakimś już dawno umarłym czasem, umarłymi ulicami, umarłymi problemami ale wciąż istniejące dziś. Ponadczasowe a dokładnie osadzone w ulotnym czasie, w szczególe...

Na co więc liczę będąc przekonany, że to taki film. Że choć historia minęła, on zostanie. Może jestem naiwny ale na tę właśnie analizę mimowolnego upadku człowieka. Na to studium gdzie nieważny fakt, małe poślizgnięcie się na łajnie, jakaś chwila zapaści, maleńki strach, maleńki zysk, przypadek maleńki, szantażyk – i nagle już nie ma odwrotu.

Film Marczewskiego jest bardzo okrutny. Ma jakby dwa zakończenia. Kiedy Cenzor wybiera wolność i przechodzi na drugą stronę ekranu wydaje się – oto sprawę mamy za sobą. Dał sobie radę. Wybrał wolność a resztę odpokutuje.

I najpierw ten świat wolności zaczyna wyglądać dziwnie – przepiękny to obraz ludzi żyjących jak ptaki jakieś na zadymionych dachach Łodzi.

A potem okazuje się – że wybór wolności nie przynosi przebaczenia.

Niby niewiele złego się stało – bo cóż wreszcie za krzywdy wyrządził ten cenzor – ale wybaczenia nie ma.

Dlaczego nie ma? Bo cenzor jak zauważyłem i widzowie też to zauważą, stając się świnią zachował w sobie nienaruszone poczucie normy moralnej.

Właśnie dlatego, że był cały czas wrażliwy, że wiedział czym jest, że nie zniszczył swej inteligencji i swego sumienia nie ma dla niego ucieczki na wolną stronę ekranu.

Musi wrócić tam gdzie był. I pewno zobaczyć jeszcze jak jego mocodawcy, ci co rządzili – bo on był tylko inteligentnym i wrażliwym wykonawcą – bez problemu przeskoczą na ową wolną stronę ekranu.

Więc myślę, że jedną z największych wartości tej opowieści Marczewskiego i tej wspaniałej kreacji Gajosa jest to, że tego cenzora i do głębi rozumiemy i lubimy. Jak siebie samych w złych postępkach, których – jeśli jesteśmy inteligentni i wrażliwi – dokonujemy z inteligencją, wrażliwością, poczuciem niesmaku i wielkim bólem.

A to będzie w nas zawsze. Tym bardziej chyba im bardziej nasz strach będzie niewielki, niby nijaki, rozmazany.

ERNEST BRYLL

Jeszcze raz obejrzałem ten film. I zrozumiałem, że może jest inaczej. Może Cenzor nie potrafi już żyć w świecie wolności. Sam odchodzi bo nie może istnieć po tej wolnej stronie ekranu ze świadomością kim był. Więc może jest to ucieczka w wolność i ucieczka od odpowiedzialności jaką niesie inne życie.

A z drugiej strony – warto popatrzeć jak ciekawi i bujni stawali się ludzie wyrywając się w świat swobody, jaki istniał po drugiej stronie ekranu. Cudowne sekwencje kiedy to nagle najbardziej zatwardziałych biurokratów opanowuje coś przemożnego i wbrew sobie zaczynają śpiewać arie z Mozarta. W tym momencie są kolorowi i wspaniali. I kontrast ze światłem przygaszonych barw, cichego szeptu, który zaczyna się po przejściu na drugą stronę ekranu. Bo tam, w wolnym świecie, jest nudno. Też nie ma wyjścia. Można niby powiedzieć wszystko ale tak naprawdę nie można wyjść ze swej roli. Jedni zostali na zawsze zamknięci w głupim filmie, który swoimi dialogami rozwalają – ale wyjść z niego nie mogą. Inni snują się po dachach miasta wśród dymu i szumu wiatru.

Ten świat wyzwolonych przypomina czyściec. Każdy żyje tym co stało się gdy nie był wolny. Nikt nie potrafi budować czegoś nowego. Więc może jedyna wolność jaką pokazuje Marczewski to prawo do swobodnego myślenia o tym, co z nami było. Już nie kłamiemy. Mówimy prawdę. Umiemy siebie ocenić ale nie wiadomo czy coś na przyszłość z tego wyniknie.

To dziwne, ale myśląc o tym filmie dostrzegłem coś co mnie zdumiało i zastanowiło. Świat kłamstwa jest tu gęsty, można powiedzieć pełen ciemnych, brzydkich ale konkretnych spraw. Co chwila trzeba walczyć o życie. Trzeba kombinować co z każdej sprawy wyniknie i co w związku z tym będzie dalej.

Oczywiście wszystkie problemy są małe, głupie i śmieszne.

Co więcej, tworzy się te problemy aby je potem w pocie czoła rozwiązywać. Bezsens. Ale bezsens pełen zasadzek, wymagających wielkiej inteligencji. To cóż, że zasadzki są głupawe, że całe to działanie mniemane. Ale jak ostro, niebezpiecznie tam się żyje. Ile jest szans na to żeby zginąć albo samemu kogoś utopić.

A kiedy wiemy już prawdę o bezsensie tej walki, o mniemanych przeszkodach i nieprawdziwych sukcesach – to co się dzieje z nami?

Stoimy osądzając tylko swoją głupotę. Powtarzamy dawne sprawy.

Świat dalej jest jałowy i bez wyjścia. Może i to chciał każdemu z nas, który bywał choć dla siebie cenzorem – powiedzieć ten film?

E.B.

UCIECZKA Z KINA »WOLNOŚĆ«

Reżyseria: Wojciech Marczewski. Wykonawcy: Janusz Gajos, Zbigniew Zamachowski, Teresa Marczewska, Władysław Kowalski i inni. Polska, 1990

Bill Murray, Dan Aykroyd i Harold Ramis

W zaświatach wesoło

Było mi smutno, więc poszedłem do kina, żeby się rozweselić. Na „Pogromców duchów". To jeden z tych filmów, na które się chodzi.

Sztuka komediowa upada, przynajmniej w kinie. W dawnych czasach każdy poważny dwór miał swego wesołka, który układał krotochwile; jak nie ułożył, dostawał baty albo wtrącano go do lochu. Dziś czasy są inne: ludzie chcą oglądać komedie, za realizację płaci się potężne pieniądze, a w salach kinowych cisza. Jeśli ktoś się zaśmieje, to tylko do własnych myśli.

I nie wiem dlaczego tak jest. Wzrasta zapotrzebowanie na śmiech, a maleje zdolność pobudzania do śmiechu. Gdyby tak było tylko w Polsce, zwaliłbym winę na któregoś z kandydatów na prezydenta, ale podobnie w kinie światowym. Może to sprawa ekologii, dziur ozonowych, zaburzeń hormonalnych. Ale mniejsza z tym.

„Pogromcy duchów" to niezła komedia, choć czegoś jej brakuje. Można się pośmiać, ale nie tyle, ile chciałoby się; można przez śmiech trochę pomedytować, ale abstrakcyjnie; można rozszyfrować gagi, ale komu by się chciało?

Bo słabością filmu jest to, że prawie wszystko zostało wzięte z kregu kina; przedmiotem śmiechu nie jest rzeczywistość, lecz kinowa i komiksowa fikcja, przez to następuje wyabstrahowanie i odrealnienie. Właściwie tylko jedna postać i kilka epizodów mają naturalną siłę komiczną; chodzi o dalszoplanową postać buchaltera i to wszystko, co mu się przygodziło.

Reszta też jest komedią, lecz innego rodzaju. W murach nowojorskiej uczelni siedzi trzech, jakbyśmy powiedzieli w Polsce, docentów i bezskutecznie para się parapsychologią, kiedyś modną dziedziną nauki. Nie odnoszą sukcesów i zostają wylani. Potrzeba rodzi inicjatywę, więc zakładają przedsiębiorstwo do likwidowania duchów, bo te rozpanoszyły się i straszą, nawet dręczą mieszkańców metropolii. Dotąd wszystko jak w Polsce z gazet.

Trójka uczonych pogromców duchów, a są nimi Bill Murray, Dan Aykroyd i Harold Ramis, to jakby nowe wydanie braci Marx, nawet nie tyle wydanie, co świadome nawiązanie. Bracia Marx mieli siłę komiczną i renomę; ci nowi jeszcze nie. To, co oferują, jest propozycją przyszłościową – komik lub grupa komiczna musi się zainstalować wśród widzów.

Te walki z duchami są najbliższe klasycznej burlesce, nawet wiadomo, że są wzięte od Bustera Keatona. A nowoczesna technika kinowa sprawia, iż duchy mieszkaniowe i hotelowe mają coś z oszalałego królika Rogera. Rozgardiasz, jaki przy tym powstaje, jest i bardzo śmieszny i bardzo kinowy.

Potem film się zmienia. Z nowoczesnej burleski przekształca się w rodzaj komediowej *fantasy*. I czegóż w niej nie ma! Są sceny rodzajowe z burmistrzem i biskupem, uliczne sceny zbiorowe, efektowne epizody w i na Empire State Building – trzęsie się cały Nowy Jork, gdy „docenci" ruszyli do ostatecznej rozprawy z duchami. Nawet jest pewien *suspense*. A wszystko przy muzyce Bernsteina, w znakomitych zdjęciach Laszló Kovácsa.

„Pogromcy duchów" to na pewno dobra komedia, rzecz prawie nie spotykana na naszych ekranach. Tyle tylko, że to komedia parodystyczna – do przodu i do tyłu; do tyłu, bo odwołuje się do Bustera Keatona i braci Marx; do przodu, bo parodiuje i parafrazuje filmy *fantasy*, grozy, akcji itp.

W sumie choć można filmowi to i owo zarzucić – rzecz jest zabawna, warta obejrzenia; dwie godziny rozrywki.

ALEKSANDER LEDÓCHOWSKI

POGROMCY DUCHÓW

GHOSTBUSTERS. Reżyseria: Ivan Reitman. Wykonawcy: Bill Murray, Dan Aykroyd, Sigourney Weaver, Harold Ramis, Rick Moranis i inni. USA, 1984.

W KINACH

Seszele

R: BOGUSŁAW LINDA. **S:** Cezary Harasimowicz. **Z:** Jarosław Szoda. **M:** Wojciech Waglewski. **Scenogr.:** Tadeusz Kosarewicz, Izabella Konarzewska. **Kier. prod.:** Andrzej Janowski. **W:** Zbigniew Zamachowski (Stefek), Tadeusz Szymków (Dudzio), Hanna Polk (Jolka), Marek Walczewski (dyrektor), Małgorzata Niemirska (Rena Holtz), Zdzisław Kuźniar (Józek), Cezary Harasimowicz (Julio). **P:** Studio Filmowe „Zebra", WFF–2 Wrocław, Polska, 1990. 103 min.

Dwaj uciekinierzy z zakładu dla umysłowo chorych trafiają do opery; za kulisami otwiera się przed nimi świat intryg, korupcji i przemocy.

Czary na Karaibach

BRIGADE MONDAINE: VAUDOU AUX CARAIBES. **R:** PHILIPPE MONNIER. **S:** wg Gérarda de Villiers. **Z:** François About. **M:** Cerrone. **W:** Patrice Valota (inspektor Corentin), Jacques Bouanich (inspektor Brichot), Julie Margo (Chimene), Corinne Carol (Eliane), Marcel Dalio (Mazoyer). **P:** Francos Films (Paryż) – Geiselgasteig Film (Monachium), Francja–RFN, 1980. 95 min. „Film–Service", Katowice.

Recenzja na str. 8

Turner i Hooch

TURNER & HOOCH. **R:** ROGER SPOTTISWOODE. **S:** Dennis Shryack, Michael Blodgett, Daniel Petrie jr., Jim Cash, Jack Epps jr. **Z:** Adam Greenberg. **M:** Charles Gross. **Scenogr.:** John DeCuir jr. **W:** Tom Hanks (Scott Turner), Mare Winningham (Emily Carson), Craig T. Nelson (Hyde), Reginald VelJohnson (David Sutton), Scott Paulin (Zack Gregory). **P:** Touchstone Pictures we współpracy z Silver Screen IV dla Warner Bros., USA, 1989. 99 min. ITI. Premiera: 9 listopada.

Komedia. Pedantyczny, wiodący uporządkowane życie policjant po śmierci przyjaciela przygarnia jego psa.

Piggate

R: KRZYSZTOF MAGOWSKI. **S:** Marcin Wolski, Krzysztof Magowski. **Z:** Włodek Głodek. **M:** Zbigniew Raj. **Scenogr.:** Jerzy Śnieżawski. **Kier. prod.:** Marek Depczyński, Edward Kłosowicz. **W:** Tadeusz Huk (William Holding), Ewa Skibińska (Lucy Crawford), Katarzyna Figura (Dolores Mendoza), Henryk Talar (Schummann), Janusz Michałowski (Hans Weisenstein), Danuta Kowalska (Anna Montini). **P:** Studio Filmowe „Dom", Polska, 1990. „Apollo–Film", Kraków.

Komedia fantastyczna. Dwaj pracownicy instytutu transplantacji przeszczepiają dorodnemu prosięciu mózg swego szefa. Umknąwszy pogoniom świnka postanawia się zemścić.

Zanim „Piękną panią Seidenman” zobaczymy w kinie

WYZWANIE WOLNOŚCI

Rozmowa z ANDRZEJEM SZCZYPIORSKIM

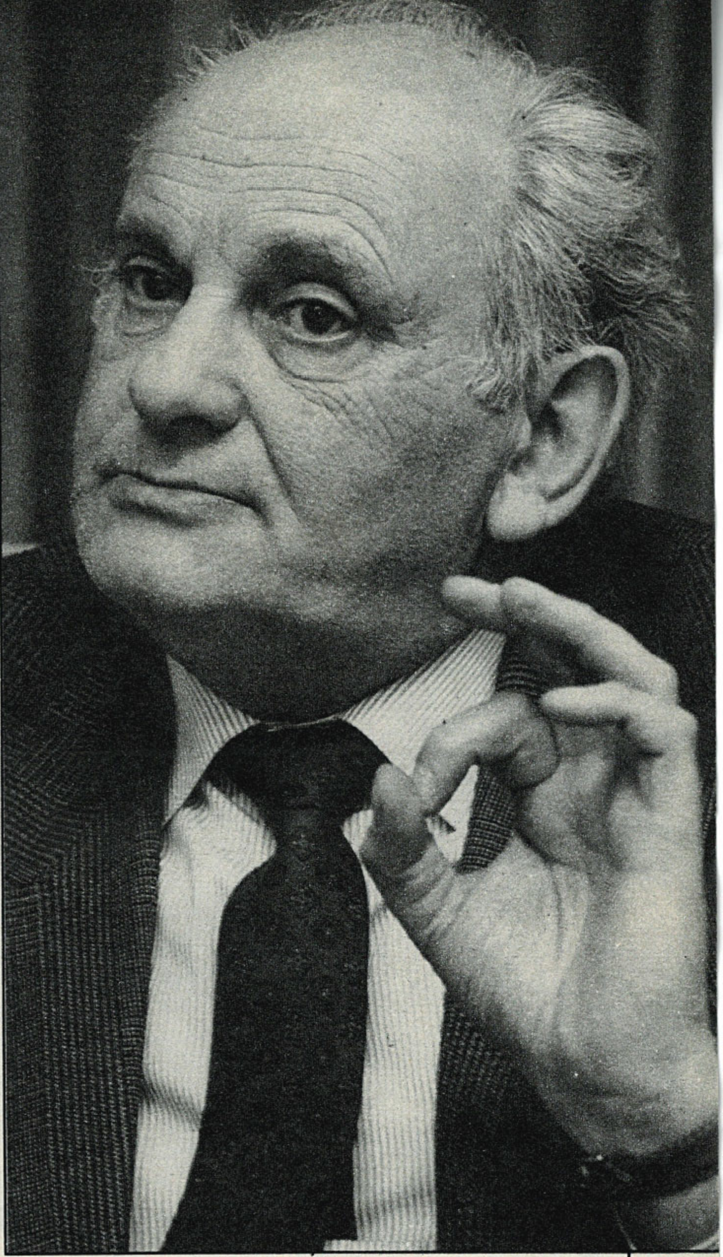

● **„Początek”, ostatnia powieść, jaką pan opublikował cieszy się wielką sławą w świecie (za granicą została wydana pod tytułem „Piękna pani Seidenman”). Czy uważa pan ją za najważniejszą książkę w swej twórczości?**

– Za najważniejszą – i w tym się chyba nie różnię od żadnego pisarza na świecie – uważam książkę ostatnią. Po „Początku” zająłem się inną powieścią, którą właśnie ukończyłem i ona jest w tej chwili najważniejsza.

● **A jeśli spojrzeć w przeszłość?**

– W przeszłości pisarskiej wciąż najważniejsza jest dla mnie „Msza za miasto Arras”. Sądzę, że to książka o najbardziej rozległych horyzontach. Natomiast do „Początku” jestem ogromnie przywiązany. Lubię tę powieść i jestem jej wdzięczny, że zrobiła taką karierę.

● **Przed laty współpracował pan z kinem jako scenarzysta, adaptowano także pana utwory. Czy te doświadczenia pozostawiły dobre wspomnienia?**

– Nie. Z wyjątkiem pierwszego filmu, na podstawie mojej powieści „Czas przeszły”, w reżyserii świetnego rzemieślnika kina Leonarda Buczkowskiego. Dzisiaj, z perspektywy trzydziestu lat, to już filmowe starocie. Nikt tak nie robi kina – inaczej się opowiada, inaczej prowadzi aktorów na planie. Ale w tamtej epoce film sprawił mi wielką satysfakcję i był świetnie przyjęty przez publiczność. Miał znakomitą obsadę: Holoubek, Łomnicki, Hanuszkiewicz, Antczak, Janowska, Majerówna. Nie podobał się Gomułce, bo były tam wyraźne sugestie, że my tak jednoznacznie nie wygraliśmy II wojny. Jeśli zaś chodzi o pozostałe filmy zrealizowane według moich scenariuszy czy na podstawie moich książek – nie jestem ich entuzjastą. Zresztą nie zdobyły one sobie zbyt wielkiej publiczności ani zbyt dobrej marki. Muszę przyznać, że znaczny ciężar odpowiedzialności za to spada na mnie. Nigdy nie traktowałem kinematografii, tego mariażu sztuki i przemysłu, jako poważnego przedmiotu zainteresowań, nie podchodziłem do tej pracy z nadmiernym pietyzmem ani zaangażowaniem. Stąd pewnie przeciętne efekty. A poza tym nie miałem szczęścia do reżyserów.

● **Film według „Początku” przygotowuje reżyser Janusz Kijowski, oraz scenarzysta Cezary Harasimowicz. Tym razem trafił pan na właściwych twórców?**

– To dłuższa historia. Janusz Kijowski był pierwszym polskim reżyserem, który w czasach, kiedy się jeszcze nikomu nie śniło o międzynarodowej karierze „Początku”, zainteresował się książką i odbył ze mną pierwsze rozmowy. Oczywiście, kilka lat temu, w ówczesnych warunkach polskich produkcja filmu była nierealna, i ze względu na moją osobę jako autora, i z uwagi na zawartość powieści. Ale Kijowski nie rezygnował, czynił w tej mierze wielkie wysiłki. Gdy zaś książka stałą się sławna, wszyscy się nią szalenie zainteresowali.

● **Słyszałem o związanych z książką planach Holland, Kieślowskiego, Wajdy, Zanussiego. Ten zestaw nazwisk może imponować.**

– Istnieje jednak na świecie taka rzecz, jak lojalność i ona zobowiązuje. Prócz tego jestem przekonany, że Kijowski jest właśnie tym twórcą, któremu nade wszystko zależy na samym tekście. Tymczasem inni – być może – zainteresowali się książką głównie dlatego, że stała się bardzo głośna w świecie i łatwo można było znaleźć producenta. Mogłem wybierać między Braunerem, De Laurentiisem i wieloma innymi. Każdy zgłaszał się ze swoim reżyserem. Kijowski zaś nie miał producenta. Kiedy więc rozpoczął ze mną rozmowę jeden z najpotężniejszych – Cohn, reprezentujący i Europę i Hollywood, wyraziłem zgodę pod warunkiem, że film będzie realizował reżyser zaproponowany przeze mnie.

● **Czy bierze pan udział w pracy nad scenariuszem?**

– Jestem od tego jak najdalej. Ponoszę pełną odpowiedzialność artystyczną i moralną za to, co napisałem, i co zostało wydrukowane. To całkowicie moje własne dzieło. Natomiast co z nim zrobią inni w ramach tego gigantycznego przedsięwzięcia, jakim jest produkcja filmowa – absolutnie nie zależy ode mnie. To już wyłącznie sprawa reżysera, scenarzysty, producenta, aktorów. Myślę, że taki stosunek pisarza do adaptacji jego utworu jest najbardziej właściwy. Dlatego sukces filmu nie będzie w żadnym stopniu moim sukcesem, klęska – nie będzie moją klęską.

● **Jak współczesna rzeczywistość wpływa na sytuację artysty w naszym kraju?**

– Polska sztuka, nade wszystko literatura, ale także kino, obciążona była serwitutami ideowymi i politycznymi, od jakich wolne są społeczeństwa innych narodów, szczęśliwszych od naszego. Nie tylko pokolenie moje i Wajdy, ale nawet to rozpoczynające artystyczną twórczość, zostało dotknięte przez „totalitarnego anioła grozy”. Nasze życie upływało w walce z totalitaryzmem. Wszyscy jesteśmy tym napiętnowani i nie możemy się od tego uwolnić – jesteśmy opętani politycznością, skazani na polityczność. Czego się nie dotknęło było unurzane w totalitarnym błocie. A artysta chce wypowiedzieć to, co go najbardziej dręczy i boli. Stąd całe polskie kino – począwszy od „Pokolenia”, dobrego choć fałszywego filmu – jest nieustannym zmaganiem się z historią współczesną, rozrachunkiem z naszą rzeczywistością polityczną. Takie zjawisko nie występuje w innych kinematografiach. A jeżeli już powstaje film, dotykający podobnych spraw – rozgrywa się na innej płaszczyźnie, w sferze psychologicznych zakamarków duszy ludzkiej. Jak u Viscontiego, który rozliczając się z faszyzmem ukazuje piekło, jakie jest w ludziach. Natomiast sztuka polska pokazuje nas w piekle. Tak dyktują doświadczenia dwóch różnych rzeczywistości.

Teraz wchodzimy w nową epokę historii Polski, w świat, którego zupełnie nie znamy. Rzuca on nowe wyzwanie –wyzwanie wolności. Chyba nie zdajemy sobie jeszcze sprawy, jaki ciężar i odpowiedzialność niesie ono ze sobą. Nie jestem pewien, czy nie okaże się bardziej wyczerpujące, niż wyzwanie totalitarne. Co robić z wolnością? Tego Polacy nie wiedzą, bo skąd? Pięćdziesiąt lat minęło od chwili, kiedy straciliśmy wolność. Całe pokolenia urodziły się w niewoli, nieświadome tego. Są napiętnowane komunistycznym stylem myślenia i sposobem odbierania świata. Czeka na nas zadanie arcytrudne – znalezienie właściwej odpowiedzi na wyzwanie wolności. Jak i kiedy to się stanie, nie wiem.

Rozmawiał
MACIEJ MANIEWSKI

Fot. Ciné Revue

KRISTIE ALLEY

Znamy ją już dobrze z serialu „Północ-Południe" (w którym jednym z jej partnerów był Parker Stevenson, prywatnie mąż), jeszcze lepiej poznamy dzięki uroczej komedii z Johnem Travoltą „I kto to mówi". Kristie występuje obecnie w serialu „Cheers" i tematem dnia jest jej spór z producentami: aktorka spodziewa się dziecka, dlatego chce, żeby scenariusz uwzględnił ciążę jej bohaterki. W serialu życie miesza się z fikcją!

Kinorama

James Ivory nie chce zmieniać świata, ale pokazuje jaki jest

Kronikarz zwyczajności

Najnowszy film autora „Bostończyków" i „Pokoju z widokiem" jest równie prosty jak jego tytuł: „Państwo Bridge" (Mrs and Mr Bridge). Przed kamerą Jamesa Ivory'ego tym razem stanęli Paul Newman i jego żona, Joanne Woodward. Zagrali małżeńską parę z Kansas City w latach trzydziestych i czterdziestych. Pan Bridge to człowiek bardzo zajęty swoją pracą (należy do amerykańskiej „upper middle class"), zdyscyplinowany, raczej purytański. Ona, pani Bridge, jest kurą domową, zajętą nieustannie mężem i dziećmi, ale marzącą niejasno o innym życiu. W tej kronice rodzinnej opowiada się o radościach i troskach, uczuciach i dramatach wpisanych w kontekst codzienności. Na tegorocznym festiwalu w Wenecji z reżyserem rozmawiała Marie-Noëlle Tranchant z „Le Figaro".

● **Co sprawiło, że sportretował pan tak zwyczajną parę małżeńską?**

– Chyba właśnie to, że ci ludzie są tak zwyczajni, a dzięki temu uniwersalni. Wszyscy jesteśmy zwyczajnymi ludźmi, których życie upływa wśród niewiele znaczących wydarzeń: jakaś miłość, trochę kłopotów. Ale to wszystko składa się na uczestnictwo w wielkiej sztuce pod nazwą „życie". Książka Ewana S. Connella, na której oparłem film, miała olbrzymi sukces w Ameryce. Ten triumf jest dowodem jak bardzo bohaterowie Connella są nam bliscy.

● **Kiedy postanowił pan zrobić adaptację?**

– Trzeba przypomnieć, że książka była pisana w dwóch różnych okresach. „Pani Bridge" wyszła w roku 1959, a po dziesięciu latach ukazał się „Pan Bridge". Przeczytałem „Panią Bridge" w roku 1963, kiedy byłem w Indiach. I już wtedy nęciło mnie przeniesienie jej na ekran. Przed trzema laty dowiedziałem się, że Joanne Woodward chciałaby zagrać panią Bridge w telewizji. Przekonałem ją, żeby zagrała bohaterkę Connella dla kina. A wtedy jej mąż, Paul Newman, postanowił także wziąć udział w przygodzie.

● **Czy w tej kronice rodzinnej są jakieś podobieństwa do pańskiej rodziny?**

– Wiele. A także do rodziny Newmanów. Paul Newman wzorował się na własnym ojcu. Joanne Woodward twierdzi, że w pani Bridge jest wiele z niej samej. Powrót do lat trzydziestych i czterdziestych był dla nas czymś w rodzaju proustowskiego poszukiwania straconego czasu. Moja rodzina była bardziej katolicka i lewicowa od rodziny Bridge'ów. Ojciec nie był tak chłodny, bardziej uzewnętrzniał swoje uczucia. Matka była bardziej wy-

Joanne Woodward i Paul Newman

tałcona, ale także pozostawała zależna od ża. Atmosfera w moim domu rodzinnym była dzo podobna do tej, jaką pokazuję w filmie. A i siaj niewiele się w tym względzie zmieniło.

● Naprawdę?

Tak sądzę. Dawniej ludzie byli bardziej pewni bie, swojego miejsca w świecie, ale ten styl abilizowanego życia nadal istnieje. Pozycja koty niepracującej, przy mężu, nie uległa zmianie prowincjonalnej Ameryce. I nadal trzeba wyjeć do Nowego Jorku, jeżeli ma się zainteresonia i aspiracje artystyczne. Ja tak właśnie popiłem. Reszta kraju, poza Nowym Jorkiem, to stynia kulturalna. Sztuka poza Nowym Jorkiem się właśnie tak, jak malarz z mojego filmu, ący malarstwa panie z dobrego towarzystwa. nich jest to hobby. W moim przekonaniu „Pańo Bridge" to nadal aktualny obraz życia na Zaodzie, jego komfortu i ciasnoty.

● Zawsze starał się pan pieczołowicie odorzyć epokę. Czy uważa się pan za realistę?

– Ależ tak. Inni jednak tak nie sądzą. Dziecińo upłynęło mi w Oregonie, gdzie domy w stylu Westu są paskudne. Chyba dlatego początko chciałem zostać architektem wnętrz. W moich nach wielką wagę przywiązuję do urządzenia mów, do przedmiotów, strojów, bo to wszystko arakteryzuje bohaterów i środowisko, w którym obracają. Wielki dom państwa Bridge wydaje się symbolem odmalowanego przeze mnie „Aerican Way of Life".

● Czy zajmuje pan postawę krytyczną?

– Jestem realistą. Staram się pokazywać, a nie ądzać.

● W pańskich adaptacjach prozy tak różch pisarzy jak Henry James, Foster, Connell wsze jednak odnajdujemy ludzi duszących się atmosferze konformizmu.

– Bo lubię przypominać widzom, że hipokryzja nieje. Ale wystarczy to tylko zasugerować. Mój ogram nie przewiduje zmieniania świata.

V blasku chwały

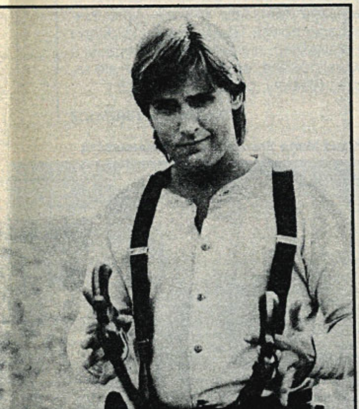

milio Estevez

czyli „Blaze of Glory": taki tytuł nosi nowy przeój Jona Bongioviego, lidera słynnego zespołu Bon Jovi". Piosenka jest tematem przewodnim esternu „Młode strzelby II". Bongiovi za namową rzyjaciela, Emilia Esteveza, odtwórcy roli Billy ida, skomponował muzykę do filmu, która ukaza się na płycie jeszcze przed jego premierą. Bonioviego wspomagają na niej muzycy tej miary co lton John, Little Richard i legendarny gitarzysta eff Beck.

Bongiovi wystąpił także jako aktor: – *Musicie obrze uważać żeby mnie nie przegapić* – mówi. – *epiej nie mrugać w czasie seansu. Pojawiam się agle, uciekam, ktoś mnie zabija – i po wszytkim.*

Mariaż rocka i westernu wygląda jednak na uday, płyta sprzedaje się bardzo dobrze, a film jest uż w pierwszej dziesiątce przebojów kasowych w SA.

AVIK GILBOA

pisze z Hollywood

● **Meryl Streep (na zdjęciu)** gra w filmie Mike Nicholsa „Pocztówki znad przepaści" (Postcards from the Edge). Reżyser czuł się nieco zaskoczony, gdy każdego ranka, wchodząc na plan, aktorka witała go gorącym pocałunkiem. Pewnego dnia padła przed nim na kolana i tuląc twarz do jego łona zawołała: „Nienawidzisz mnie teraz, prawda?". Dopiero wówczas Nichols zorientował się, że aktorka ćwiczy rolę i wprawia się w odpowiedni nastrój, aby nie uczynić fałszywego kroku przed kamerą. „Kiedy już raz zacznie, nie potrafi przerwać, dopóki nie skończy filmu" – skomentował to z podziwem Mike Nichols.

● Mel Gibson wystraszył pewną spokojną mieszkankę Los Angeles ścigając ją samochodem i szaleńczo nadużywając klaksonu. Przerażona niewiasta, przekonana, że chcą ją obrabować, schroniła się na najbliższym posterunku policji, dokąd po chwili wbiegł Gibson tłumacząc, że chce jej oddać zgubioną torebkę. Po wymianie uprzejmości i podziękowań kobieta oświadczyła, że nikt nie uwierzy bez dowodu w jej opowieść. Mel napisał więc potwierdzone policyjnie oświadczenie: – *Zwróciłem torebkę Ginney po pościgu przez dwanaście ulic – Mel Gibson.*

● O czym się plotkuje: Brooke Shields reklamująca nowy nowojorski „salon gimnastyczny" Arta Clyde'a otrzymała wymówienie. Zgodnie z kontraktem miała bowiem schudnąć o 10 kilo, co nie nastąpiło, mimo regularnego uprawiania wszystkich ćwiczeń przepisanych w „salonie". Zapytany, dlaczego ćwiczenia okazały się nieskuteczne, właściciel odpowiedział z irytacją: „Bo za dużo je!". Agent Brooke oświadczył, że cała sprawa jest „nieporozumieniem".

● Dla uczczenia stulecia urodzin najsłynniejszej autorki powieści detektywistycznych, Agathy Christie, w brytyjskiej TV postanowiono doprowadzić do spotkania dwojga jej ulubionych bohaterów, którzy nigdy jednak nie spotkali się w żadnej z jej książek. David Suchet w roli Herculesa Poirot rozwiąże, wraz z Joan Hickson w roli Miss Marple, skomplikowaną zagadkę kryminalną. Rodzina autorki zgłosiła najpierw sprzeciw, kiedy jednak okazało się, że roczne wpływy ze sprzedaży książek wyraźnie maleją (pieniądze otrzymuje trust rodzinny) – oporu zaniechano. Od 1976 roku wpływy te wynoszą 10 do 16 milionów dolarów rocznie...

● Zanotowane odzywki: – *Najlepiej czuję się w rolach przewidzianych dla aktorów poniżej metra siedemdziesiąt wzrostu!* (Woody Allen) oraz: – *Gdyby przybysz z innej planety chciał poznać życie na Ziemi z hollywoodzkich filmów, byłby przekonany, że nasz świat zaludniają trzydziestoletni biali mężczyźni, zajmujący się głównie strzelaniem.* (Bonnie Bedelia).

Delon nie do poznania

Zanim wypijemy szampana

Alain Delon odpowiada na niepowodzenia kompletną zmianą swego *image*. Zresztą nie pierwszy raz, pamiętamy przecież komediowo potraktowanego barona de Charlusa z „Miłości Swanna", kreację zaskakującą widzów policyjnych filmów francuskiego gwiazdora, które zaczynały się trochę przejadać. Ostatnio Delon miał znowu dwie kasowe wpadki: pretensjonalną „Nową falę" Godarda (co mogą potwierdzić widzowie Warszawskiego Tygodnia Filmowego) i niemrawy kryminał „Nie budzić śpiącego gliniarza" (Ne reveillez pas un flic qui dort). Odniósł natomiast sukcesy na innym polu. Użyczył swego nazwiska i twarzy telewizyjnej emisji „Téléthon" dla chorych dzieci, odstąpił swą słynną kolekcję obrazów profesorowi Schwarzenbergowi z przeznaczeniem wpływów ze sprzedaży na badania nad rakiem, wzruszył licznych telewidzów w audycji poświęconej wspomnieniu o Romy Schneider... A niespodziankę przyniesie niewątpliwie film „Dancing Machine", w którym pojawia się nieogolony, siwiejący, o lasce w roli niejakiego Monsieur Alana, podejrzewanego przez inspektora policji (gra go Claude Brasseur) o spowodowanie śmierci trzech tancerek. Alan sam był niegdyś wielkim tancerzem, ale u szczytu kariery uległ wypadkowi, w którym zginęła jego ukochana. Czy ten tajemniczy samotnik mści się teraz na młodych adeptkach tańca? Delon jest także producentem filmu, który reżyseruje Gilles Béhat. Znowu ryzykuje i czyni to „z miłości do kina francuskiego". Jego życie osobiste skomplikowało się ostatnio po odejściu pięknej Catherine Pironi. W swej posiadłości Douchy najlepiej czuje się w otoczeniu 18 psów... Ale myśli także o interesach: w telewizji lansuje własną markę szampana.

Alain Delon i Patrick Dupond

Fabularne

ANGOLSKI DZIENNIK
Czwartek, 11.15, II
CZŁOWIEK, KTÓRY KOCHAŁ CAT
Sobota, 20.05, I **p. niżej**
HANUSSEN
Środa, 9.35 i 20.05, I **p. obok**
JEETER MASON I MAGICZNE SŁUCHAWKI
Poniedziałek, 17.00, II **p. na str. 17**
ŚLUBY UŁAŃSKIE
Niedziela, 15.10, I **p. na str. 15**
W POTRZASKU
Sobota, 23.45, I **p. obok**
ZAPLOMBOWANY POCIĄG (cz. 2)
Piątek, 20.05, I
ZŁOTE CZASY RADIA
Wtorek, 11.15 i 21.55, II **p. na str. 15**

CZŁOWIEK, KTÓRY KOCHAŁ CAT

SOBOTA, 20.05, I

Pierwsze ujęcie: Sarah Miles pędzi na koniu wzdłuż toru kolejowego, romantyczna amazonka przysłonięta kokieteryjną parasolką. Mamy więc zapowiedź westernu barokowego, w stylu Hustona i chociaż film zbacza następnie w stronę naturalizmu, pozostaje do końca owa romantyczna dominanta, będąca swoistym znakiem firmowym Richarda Sarafiana. To wielka przyjemność oglądać film, w którym reżyser ma czas na ujęcia pejzażowe, na dokładne przyjrzenie się ludziom, na przestudiowanie ich motywacji. Żadna z licznych scen typowo „akcyjnych" nie jest tu celem samym w sobie. Odnajdujemy natomiast zainteresowanie reżysera postaciami marginalnymi, społecznymi outsiderami, ale przynajmniej nikt się nad nimi nie rozczula.

Ciekawym, i dla westernu oryginalnym chwytem jest wysunięcie na plan pierwszy kobiety (Sarah Miles jest doprawdy wspaniała!), a właściwie dwóch kobiet, bowiem przez cały czas wyczuwa się wręcz fizyczną obecność zmarłej dawno temu Indianki „Cat Dancing" (Tańczącej Kotki); tajemnicę jej śmierci nosi w sobie główny bohater, Cat jest jego obsesją.

Ale, niestety, scenariusz Eleanor Perry nie zachował niezbędnych w takim filmie rygorów kompozycyjnych, zwłaszcza w wątku pościgu za porywaczami; rozbijają one rytm opowiadania. Jak gdyby części dwu różnych filmów niestarannie nałożono na siebie.

L'ECRAN (Paryż), 1974

Sarah Miles (Catherine) i Burt Reynolds (Grobart)

W POTRZASKU

SOBOTA, 23.45, I

Wszystkich, którzy zastanawiają się, czy zarwać noc i obejrzeć film „W potrzasku" ostrzegam: nie warto! Ten produkt belgijsko-francuskiej nieporadności, rezultat nie popartej kwalifikacjami chęci zrealizowania filmu, ma według wszelkich możliwych kryteriów wartość „0". Scenariusz: ani horror, ani kryminał, ani dramat obyczajowy; z wszystkiego po trochu. Uśmierciwszy w ciągu pięciu minut córeczkę i wpędziwszy jej mamusię w paraliż, scenarzysta stracił rozmach i przez dalszych 70 minut mozolnie popycha akcję do mało interesującego końca. Po drodze niezbyt podniecająca scena łóżkowa i próby straszenia widza, który jednak nie zauważa tego bo już dawno zasnął. Aktorstwo: kompletna amatorszczyzna z dużą dozą histerii. Najlepsza jest mamusia, która trwa w stuporze. Inscenizacja: jeden wynajęty od przyjaciół pałacyk z kawałkiem parku, jeden mało używany samochód. Muzyka własna, dialogi szwagra. Usiłowałem dojść, kim zacz jest pan Maxime Debest, ale nie zdołałem. Mam nadzieję, że znajomość nie będzie podtrzymywana. Uznajmy rzecz całą za wypadek przy pracy i chodźmy spać nie zapominając zgasić telewizora.

OSKAR SOBAŃSKI

HANUSSEN

ŚRODA, 9.35 i 20.05, I

Jasnowidz czy oszust o wielkim sprycie i jeszcze większych ambicjach? Historycy nie potrafią odpowiedzieć na to pytanie. Losy przepowiadającego przyszłość – często trafnie – Klausa Schneidera, znanego jako Erik Jan Hanussen rozpalały wyobraźnię Niemców. Okultysta działał w okresie pomiędzy dwiema wojnami światowymi. Przewidział ponoć przejęcie władzy przez nazistów i w końcu zginął z ich rąk. Stał się bohaterem wielu sensacyjnych artykułów i książek, a jego pośmiertny rozgłos umocnił nakręcony w RFN w 1955 film spółki reżyserskiej Fischer-Marischka.

„Hanussen" to trzecia i ostatnia część cyklu wyimaginowanych biografii autentycznych postaci historycznych, który stworzył węgierski reżyser István Szabó ze scenarzystą Péterem Dobaiem i aktorem Klausem Marią Brandauerem. „Mefisto", „Pułkownik Redl" i „Hanussen" mówiły o wrażliwych i ambitnych jednostkach zmiażdżonych przez władzę, której chcieli służyć.

Ze wszystkich trzech filmów „Hanussen" jest najsłabszy. To jedyna część trylogii oparta na oryginalnym scenariuszu. „Mefisto" był luźną adaptacją powieści Klausa Manna; scenariusz „Pułkownika Redla" zainspirowała zręczna sztuka Johna Osborne'a „A Patriot for Me". Dobai był dobry, gdy miał tworzywo, z którym mógł się zmagać, któremu z powodzeniem nadawał nowe znaczenia; jako autor samodzielny – zawiódł. Nie bez znaczenia były także naciski niemieckiego producenta, którego mniej interesowało powtórzenie wyrafinowanej formuły poprzednich filmów a bardziej obraz kariery Hanussena. Rezultat jest paradoksalny: w przypadku „mniej autentycznych" postaci Höfgena-Grüdgensa i Redla powstały pełne, niepokojące portrety psychologiczne. Natomiast „autentyczny" Hanussen, choć jest ukazany jako osobnik najbardziej z nich tajemniczy, w końcu okazuje się najmniej fascynujący. Szabó nie daje zdecydowanej odpowiedzi, czy jego bohater jest hochsztaplerem, czy miał jakiś niezwykły dar. Hanussen jest postacią tak bardzo niezdefiniowaną, że aż nijaką i wreszcie przestaje budzić zainteresowanie widza.

Obraz dekadenckiej republiki weimarskiej jest stereotypowy: parę stylizowanych scen erotycznych luźno związanych z akcją. Wygląda to na komercyjny kompromis, zbędny i nieprzekonywający ozdobnik.

Nie ratuje „Hanussena" ani Brandauer, ani liczne cytaty, odwołania i smaczki, które miały film ubarwić. Scena na frontowym cmentarzu jest gorzka i zabawna (proszę zwrócić uwagę na nazwiska poległych żołnierzy armii cesarsko-królewskiej), ale właściwie niepotrzebna. Natomiast sparafrazowanie, wyraźne zwłaszcza w finale filmu, klasycznej noweli Tomasza Manna „Mario i czarodziej", nie świadczy bynajmniej o wyrafinowanej erudycji twórców, ale raczej, niestety, o ich bezradności.

WOJCIECH T. JUREWICZ

Klaus Maria Brandauer w roli Hanussena

Kapral, jasnowidz, szaleniec

„Zachowywał się jak pruski kapral. Wrzeszczał bez przerwy, jakby to on reżyserował film. Kradł sceny Robertowi Duvallowi, który w tej sytuacji zachowywał się jak prawdziwy dżentelmen. Prowadził jakąś maniacką rywalizację o to, kto jest największą gwiazdą filmu". Tak opisywał Jerzy Skolimowski współpracę z Klausem Marią Brandauerem na planie „Latarniowca" (1985). Po ukończeniu filmu mówił, że już nigdy nie chciałby z nim pracować, jednak po jakimś czasie jego wypowiedzi traciły ostrość, przez niechęć zaczęło przebijać uznanie i skrywana fascynacja.

TELEGWIAZDA

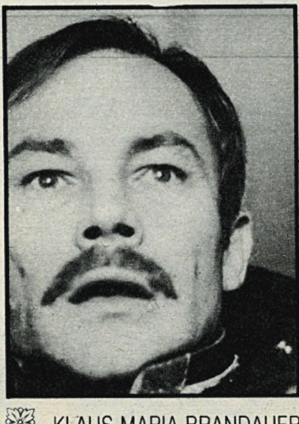
KLAUS MARIA BRANDAUER

Osobowość aktora, jak osobowość granych przezeń bohaterów – przeraża, ale i pociąga. Kariera Brandauera ma w sobie coś z karier jego najgłośniejszych postaci ekranowych: to pasja przeradzająca się w opętanie ambicją i dążeniem do perfekcji. Warunki fizyczne, nawet nazwisko (naprawdę brzmi ono niezbyt dźwięcznie Steng) działały przeciw niemu. Przyciężka, krępa sylwetka, szeroka twarz o mało wyrazistych rysach, łysiejąca głowa, bladoniebieskie oczy... Ale te oczy potrafią nagle rozbłysnąć okrutną ironią albo szaleństwem, a ciało może nabrać zwierzęcej niemal giętkości albo zastygnąć w nieludzkiej martwocie.

Wszyscy najważniejsi bohaterowie Brandauera – zwłaszcza z trylogii Istvána Szabó: Mefisto, pułkownik Redl i Hanussen to szaleńcy, dążący do nierealnego zgoła celu, do niemożliwej do osiągnięcia doskonałości. Bezlitosna dyscyplina, którą sobie w imię tego celu narzucają, wynika z ich kompleksów, słabości, z ich przeciętności wreszcie, którą chcą w ten sposób unieważnić. Dążenie do absolutu jest ich obroną przed światem, któremu nie ufają, przed samotnością której nie umieją przełamać. Umierają jeszcze bardziej samotni. Na nic zdał się aktorski talent Höfgena, żołnierska wierność Redla, swoisty geniusz Hanussena.

Do historii kina przejdzie z pewnością scena samobójstwa Redla – jedna z najbardziej wstrząsających scen tego typu na ekranie. Jest w niej wszystko, co dla bohaterów Brandauera najbardziej charakterystyczne: przywiązanie do życia zmieszane z pogardą, samouwielbienie i rozpacz, słabość i dziwny, właściwie przerażający heroizm. Ta śmierć ma nadać życiu sens, potwierdzić istnienie spójnej osobowości.

Temu Mefistofelesowi Hollywood nie miało dotąd wiele do zaoferowania. W „Nigdy nie mów nigdy" (1983) zagrał wyrazistą ale bardzo konwencjonalną rolę przeciwnika Bonda – Seana Connery'ego. W „Pożegnaniu z Afryką" pozytywnie wyróżniał się na tle dość lukrowano-melodramatycznej całości. I nadal kradł sceny sztywnej Meryl Streep... Jego Bror był jedyną postacią filmu, która coś przeżywała naprawdę. We wspomnianym „Latarniowcu" nie do końca powiodła mu się próba zagrania postaci konsekwentnie pozytywnej, wbrew scenariuszowi i koncepcji reżysera. W serialu „Quo vadis?" (1984) przyćmił wszystkich rolą Nerona, sprostał mu tylko Frederic Forrest jako Petroniusz.

Ale nie da się ukryć, że były to sukcesy połowiczne: Brandauer nie zagrał swej kolejnej wielkiej roli. Wciąż jeszcze jest ona przed nim.

RAFAŁ WILKUSZ

Redakcja nie odpowiada za zmiany w programie

ŚLUBY UŁAŃSKIE

NIEDZIELA, 15.10, I

O produkcji filmowej w Polsce międzywojennej decydował rynek. Liczył się budżet filmu, zaangażowane gwiazdy, sprawdzone schematy fabularne – to było bowiem gwarancją sprzedania towaru. Na ogół widz nie akceptował rozwiązań innych, niż zazwyczaj prezentowane, co obciążało poziom równaniem do gustów przeciętnego statystycznie odbiorcy. Wysmakowane obrazy artystyczne nie sprzedawały się, więc były towarem złym, a jeśli już powstawały, to za grosze. Tylko widz masowy dawał wpływy. Sięgano więc po znane schematy fabularne, zmieniając tylko sztafaż scenariuszowy i dialogi; te ostatnie rozpisując najczęściej na role postaci przyporządkowanych konkretnym aktorom, szufladkując ich na całe lata. Powstające filmy przypominały często produkt taśmowy: powtarzalność elementów była widoczna dla każdego.

W „Ślubach ułańskich" sięgnięto do Fredry i Sienkiewicza. Od pierwszego wzięto operowo-komediowy wątek nierealnych przysiąg życia w czystości, od drugiego militarno-historyczne ciągoty do munduru. Dołożono dialogi z dowcipami, które musiał zrozumieć każdy, skecze z serii „kuchta udaje hrabinę", wątek sentymentalny taki sam, jak zawsze – i dano tę mieszankę do zagrania dobrym aktorom. Naprawdę dobrym. I oni uratowali film: Modzelewska, Mankiewiczówna, Brodniewicz, Conti, Sielański, Żabczyński. Wojskowym konsultantem był „pierwszy kawalerzysta Rzeczypospolitej", generał Wieniawa-Długoszowski. Doszły jeszcze znakomite, przebojowe piosenki Hemara. Te składniki dały w rezultacie koktajl, który się pije z zadowoleniem jak dzieło fachowego barmana.

Kto wie? Może warto zrewidować formułowane po wojnie zastrzeżenia wobec polskiej przedwojennej komedii – i wykorzystać jej doświadczenia? Dając widzowi to, co zna i lubi? Kiedyś kino utrzymywało się samo, a te – niby błahe i niepoważne – komedyjki oglądamy z przyjemnością do dziś.

GRZEGORZ PIEŃKOWSKI

Wojciech Ruszkowski (rotmistrz Jakubek), Tola Mankiewiczówna (Krzysia) i Witold Conti (major Załęski)

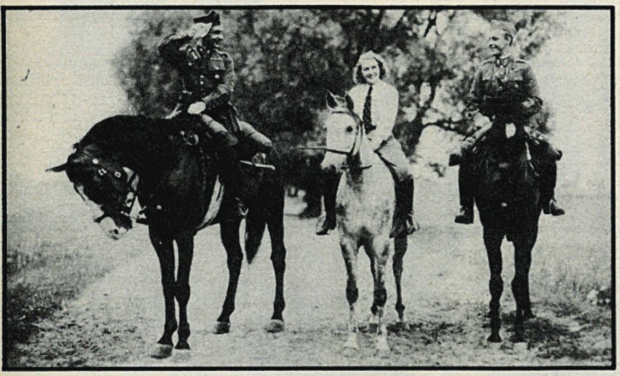

ZŁOTE CZASY RADIA

WTOREK, 11.15 i 21.55, II

„Złote czasy radia" są kolejnym hołdem Allena dla kina europejskiego, zwłaszcza dla Felliniego: klimatem i kompozycją film przypomina „Amarcord". W obu są słodko-gorzkie wspomnienia dzieciństwa – pierwsze erotyczne fascynacje i miniony, a we wspomnieniu wypiękniały świat pełen dziwnej cudowności. U Allena jest to oczywiście Nowy Jork u schyłku lat 30., piękny i tajemniczy jak rzadko.

Prócz motywu europejskiego i żydowskiego jest oczywiście w filmie Allena motyw amerykański, najistotniejszy. Głównym „bohaterem" filmu jest radio, które w latach 30. i 40. integrowało Amerykanów, tworzyło wspólne wzorce estetyczne, miało ogromny wpływ na film, teatr, muzykę czy reklamę i modę, później na telewizję. W radiu zaczynał Orson Welles, słuchowiskiem „Wojna światów" co zresztą zostało tu należycie wykorzystane. Oczywiście jedynie Amerykanie i to starsi, wychwytują wszystkie aluzje, ale pomimo to film ogląda się z niesłabnącym zainteresowaniem, co jest zasługą oryginalnej formy realizacji. Film ma epizodyczną, właśnie radiową budowę: równorzędnych, w pewnym sensie głównych ról jest w nim ponad... dziewięćdziesiąt!

Ale to rozwichrzenie kompozycji jest tylko pozorne. Obraz świata jaki wyłania się z tego ciągu epizodów–koralików jest spójny, konsekwentny i wzruszający. Jest światem Allena wracającego do krainy dzieciństwa, za sprawą orkiestry Glenna Millera i tysiąca innych głosów wydobywających się z magicznej skrzynki.

TOMASZ JOPKIEWICZ

Od soboty do piątku wszystkie filmy fabularne

SOBOTA, 10 XI

20.05 (I): CZŁOWIEK, KTÓRY KOCHAŁ CAT
The Man Who Loved Cat Dancing; USA; 1973; 114'; r. Richard C. Sarafian; w. Burt Reynolds, Sarah Miles, Lee J. Cobb, George Hamilton, Jack Warden
Western. Catherine (Miles), przypadkowy świadek napadu na pociąg zostaje porwana przez bandę Grobarta (Reynolds). W czasie ucieczki młoda kobieta staje się celem obsesyjnego pożądania bandytów i Indian. W końcu pada ofiarą własnego męża (Hamilton), ścigającego Grobarta, bardziej z powodu zniewagi niż pragnienia odzyskania żony.
Recenzja na str. 14

23.45 (I): W POTRZASKU
Lock/Cris; Belgia–Francja, 1984; 89'; r. Maxime Debest; w. Roger Van Hool, Danielle Denie, Fanny Maggieri, Catherine Denie
Mała Catherine (C. Denie) umiera odkrywając romans ojca (Van Hool) z pokojówką Fanny (Maggieri); matka (D. Denie) ulega paraliżowi, dzięki czemu związek cynicznych kochanków rozwija się bez przeszkód, aż patologiczna zazdrość Fanny o zmarłą córeczkę wywołuje na świat upiora dziewczynki.
Recenzja na str. 14

NIEDZIELA, 11 XI

15.10 (I): ŚLUBY UŁAŃSKIE
Polska; 1934; 74'; r. Juliusz Gardan; w. Aleksander Żabczyński, Maria Modzelewska, Tola Mankiewiczówna, Franciszek Brodniewicz, Witold Conti
Sierpień 1914 roku. W dworze w Pleszczowicach spotyka się siedmiu ochotników, którzy wkrótce trafią do 1 pułku ułanów legionowych. Składają kawalerskie „śluby ułańskie" pozostania w bezżennym stanie. Tymczasem Gończa (Brodniewicz), jeden z nich, zakochał się w dziedziczce (Modzelewska)... Przyjaciele spotykają się znów po piętnastu latach...
Z cyklu: W STARYM KINIE
Recenzja wyżej

PONIEDZIAŁEK, 12 XI

17.00 (II): JEETER MASON I MAGICZNE SŁUCHAWKI
Jeeter Mason and the Magic Headset; USA; 1989; 32'; r. Claude Kerven; w. Kim Hauser, Lilli Mell-Warren, Mary Walker
p. Filmy dla dzieci

WTOREK, 13 XI

11.15 i 21.55 (II): ZŁOTE CZASY RADIA
Radio Days; USA; 1987; 88'; r. Woody Allen; w. Mia Farrow, Michael Tucker, Danny Aiello, Dianne Wiest, Diane Keaton
Nostalgiczna komedia nawiązująca do „Amarcordu" Felliniego. Nowy Jork końca lat trzydziestych. Żydowska rodzina z Queens zafascynowana jest nowym środkiem przekazu – radiem.
Recenzja wyżej

ŚRODA, 14 XI

9.35 i 20.05 (I): HANUSSEN
Hanussen; Węgry-RFN-Austria; 1988; 112'; r. István Szabó; w. Klaus Maria Brandauer, Erland Josephson, Adrianna Biedrzyńska, Michał Bajor
Historia słynnego w okresie dwudziestolecia międzywojennego jasnowidza Hanussena (Brandauer) i jego niebezpiecznego flirtu z hitlerowskimi władzami.
Recenzja na str. 14

CZWARTEK, 15 XI

11.15 (II): ANGOLSKI DZIENNIK
Angolský dennik lekarký; CSRS; 1984; 89'; r. Vaclav Kavačak; w. Jana Brejchová, Jana Švandova
Rekonstrukcja wydarzeń z 1983 roku, kiedy to angolańska organizacja UNITA uprowadziła 66 czeskich obywateli.

PIĄTEK, 16 XI

20.05 (I): ZAPLOMBOWANY POCIĄG (cz. 2)
Sealed Train; RFN-Włochy-Austria-Francja; 1989; 89'; r. Damiano Damiani; w. Ben Kingsley, Dominique Sanda, Leslie Caron
Dokończenie opowieści o zorganizowanym przez Niemców przerzuceniu Lenina ze współtowarzyszami do Rosji.

Różne

SOBOTA, 10 XI

8.10 (II): DZIEDZICTWO (7 – ostatni): ŚWIAT BEZ GRANIC
The Tribal Eye: Across The Frontiers; dokumentalny serial angielsko-amerykańsko-zachodnioniemiecki; 1975; 50'; r. Anna Benson Gyles

13.45 (I): SIÓDEMKA W JEDYNCE
blok filmowy telewizji francuskiej LA SEPT

ŚLADAMI PANA HULOT (1)
Sur les pas de Mr Hulot; dokumentalny serial francuski; 1989; 55'; r. Sophie Tatischeff
Serial opowiada o osobowości i metodach pracy słynnego francuskiego mima i komika Jacquesa Tati (1906–1982), nazwanego przez Paulinę Kael „największym komikiem francuskim od czasów Maxa Lindera", twórcy postaci pana Hulot.

Jacqeus Tati

HISTORIA KOMIKSU (1)
Bande dessinée; francuski serial dokumentalny; 1989; 30'; r. Alejandro Vallejo
Co to jest komiks? Próba definicji tej specyficznej odmiany kultury masowej

15.00 (I): ZWIERZĘTA ŚWIATA (6): JAK POWSTAJE BUSZ
Nature of Australia: serial kanadyjsko-angielski; 1988; 35'; r. David Collinson
Pożary jako potężna siła kształtująca środowisko przyrodnicze Australii. Sposoby przystosowania się różnych rodzajów fauny do zagrożenia ogniem.

NIEDZIELA, 11 XI

10.30 (I): SKARBY JASNOGÓRSKIE
polski film dokumentalny; 1986; 25'; r. Edward Szaniawski
Historia słynnego zespołu klasztornego i skarbca zawierającego liczne narodowe pamiątki oraz cenne dzieła sztuki świeckiej i sakralnej.

12.00 (II): POLSKA KRONIKA FILMOWA nr 45

16.15 (II): WSPÓLNY RYNEK (2): IRLANDIA
Trading Places: Ireland; dokumentalny serial angielski; 1988; 26'; r. Peter Swain
Problemy gospodarcze Irlandii (wysokie bezrobocie i zadłużenie) oraz drogi do ich rozwiązania (m. in. rozwój turystyki)

WTOREK, 13 XI

17.00 (II): NATIONAL GEOGRAPHIC (4)
dokumentalny serial USA; 1988; 45'; r. George Freeman

21.25 (I): DE GAULLE – NIE KOŃCZĄCE SIĘ WYZWANIE (1): BUNTOWNIK
De Gaulle – l'eternal: d'efi: Le rebelle; dokumentalny serial francuski; 1989; 62;
Młodość Charlesa André De Gaulle'a (1890–1970); jego udział w I wojnie światowej i pierwszej fazie II wojny światowej, apel do Francuzów o kontynuowanie wojny z Niemcami wbrew kapitulacji rządu marszałka Pétaina (1940).

Seriale

BAGDAD CAFE (5)
Piątek, 12.00, II
CRIME STORY (20)
Piątek, 12.50 i 21.55, II
CÓRY SŁOŃCA (2)
Środa, 12.15, II
CUDOWNE LATA (19)
Sobota, 10.40, II i czwartek, 18.30, II
CZTERY KOBIETY (2)
Niedziela, 21.45, II
DE GAULLE (1)
Wtorek, 21.25, I
DYNASTIA (50)
Wtorek, 9.55 i 20.05, I
DZIEDZICTWO (7–ostatni)
Sobota, 8.10, II
FANNY I ALEKSANDER (2)
Niedziela, 20.05, I
KARINO (10)
Środa, 16.50, I
LATAJĄCY DOKTORZY (9)
Niedziela, 14.15, II
NAD NIEMNEM (3)
Piątek, 17.00, II **recenzja obok**
NATIONAL GEOGRAPHIC (4)
Wtorek, 17.00, II
NIEBEZPIECZNA ZATOKA (10)
Niedziela, 10.00, I **recenzja na str. obok**
PRZYGODY NA KITHIRZE (2)
Sobota, 10.00, I
RODZINA BRETTÓW (5)
Sobota, 11.10 i 22.05, II
RODZINA KANDERÓW (8)
Poniedziałek, 17.55, I
SANTA BARBARA
Sobota, 12.00 powt. odc. 73 i 74
Niedziela, 10.15, powt. odc. 75 i 76
Wtorek – piątek, 9.10, II
STAR TREK – NASTĘPNE POKOLENIE (11)
Piątek, 18.10, I
STREFA MROKU (6)
Sobota, 14.30, II
SZUANI (1)
Poniedziałek, 15.30 i 22.10, II
ULICE SAN FRANCISCO (10)
Czwartek, 9.35 i 20.05, I
W LABIRYNCIE (88)
Środa, 21.55, II i piątek, 16.00, II
WSPÓLNY RYNEK (2)
Niedziela, 16.15, II
ZWIERZĘTA ŚWIATA (6)
Sobota, 15.00, II
ŻYCIE OD KUCHNI (11)
Piątek, 9.35, I

NAD NIEMNEM

PIĄTEK,17.00, II

Jak to się dzieje, że uważana za nudną „lekturowa" powieść, sfilmowana przez reżysera, który nigdy nie chadzał w pierwszym szeregu, tak miło zaprezentowała się jako telewizyjny serial? Przynosi namysł nad polskim losem, ukazuje piękno rodzinnego krajobrazu, szlachetność i urok narodowego obyczaju, mowy, tradycji. Orzeszkowa operowała schematami, które wojujący pozytywizm opatrywał w dydaktyczne wykrzykniki. Jeśli arystokrata – to utracjusz i kosmopolita, nieczuły na sprawy narodowe. Biedak – więc honorowy, jak Bohatyrowicz z zaścianka, patriota z patosem traktujący wiejski trud i pracę na roli na wysuniętych rubieżach polskości.

Jak to się stało, że materia literacka tak skutecznie „przerabiana" (na szaro) przez kolejne pokolenia polskich uczniów, zabłysła nie podejrzewanymi urokami? Dwie dostrzegam tego przyczyny, które się ze sobą w jakiś sposób łączą.

A więc z jednej strony pokora twórców wobec pierwowzoru: niczego nie uwspółcześniali, nie modernizowali, nie poprawiali. Opłaciło się z nawiązką, między innymi dlatego, że aktorzy, nawet drugiego planu, dostali tym sposobem znakomite kąski do grania. Orzeszkowa, w przeciwieństwie do wielu współczesnych autorów dialogów filmowych, miała ucho na melodykę języka i wewnętrzną dramaturgię dialogu. Nic więc dziwnego, że skończone kreacje tworzą tu nie tylko Marta Lipińska (Emilia Korczyńska) czy Janusz Zakrzeński (Benedykt) ale także Andrzej Precigs (Teofil Różycki), czy Jan Prochyra (Bolesław Kirło). Każdy miał co zagrać... z wyjątkiem Iwony Pawlak i Adama Marjańskiego (odtwórców ról Justyny i Jana). Trudno jednak mieć o to pretensje do debiutantów: ich bohaterowie są zbyt pozytywno-papierowi aby mogli być prawdziwi. Słusznie więc Kuźmiński eksponuje raczej ich otoczenie.

Druga przyczyna sukcesu to naturalna podatność telewizyjnego serialu na mariaż z wszelkiego rodzaju powieściami i sagami rodzinnymi. Jeśli tylko adaptator nie zaszaleje ponad miarę porządnej XIX-wiecznej realistycznej normy, to kompozycja fabuły, wielość wątków i jednostkowych losów, a nawet opisy przyrody, obronią się w telewizji same. Od urodzenia były dla niej stworzone. Wystarczy nie przeszkadzać. Tylko tyle i aż tyle.

CZESŁAW DONDZIŁŁO

Iwona Pawlak (Justyna)

Od soboty do piątku wszystkie seriale

SOBOTA, 10 XI

8.10 (II): DZIEDZICTWO (7 – ostatni): ŚWIAT BEZ GRANIC
p. Różne

10.00 (I): PRZYGODY NA KITHIRZE (2)
p. Filmy dla dzieci

10.40 (II): CUDOWNE LATA (19): URODZINY
p. Filmy dla dzieci

11.10 (II): RODZINA BRETTÓW (5)
p. niżej – 22.05

12.00 (II): SANTA BARBARA
powtórzenie odc. 73 i 74

14.30 (II): STREFA MROKU (6)
Twilight Zone; serial USA; 1988;

15.00 (I): ZWIERZĘTA ŚWIATA (6)
p. Różne

22.05 (II): RODZINA BRETTÓW (5): FILMY
The Bretts; Moving Pictures; serial angielski; 1988; 54'; r. Ronny Wilson; w. Norman Rodway, Barbara Murray, Belinda Lang, David Yelland
Edwin w tajemnicy przed ojcem występuje w filmach. Okazuje się, że i innych członków klanu Brettów pociąga ta jarmarczna podówczas sztuka.

NIEDZIELA, 11 XI

10.00 (I): NIEBEZPIECZNA ZATOKA (10): PODWODNA PRÓBA
p. Filmy dla dzieci

10.15 (II): SANTA BARBARA
powtórzenie odc. 75 i 76

14.15 (II): LATAJĄCY DOKTORZY (9)
Flying Doctors: Rally To the Cause; 1987; 46'; r. Brendan Maher; w. Andrew Mc Farlane, Liz Burch, Gil Evans, Gil Tucker
Uczestnicy rajdu samochodowego goszczą w Cooper's Crossing. Powoduje to sporo zamieszania.

16.15 (II): WSPÓLNY RYNEK (2): IRLANDIA

20.05 (I): FANNY I ALEKSANDER (2)
Fanny och Alexander; miniserial szwedzki; 1985; 75'; r. Ingmar Bergman; w. Allan Edwall, Ewa Fröling, Pernilla Allwin, Bertil Guve
Ojciec Aleksandra umiera, matka wychodzi ponownie za mąż – za protestanckiego biskupa-rygorystę.

21.45 (II): CZTERY KOBIETY (2)
miniserial włoski; 1988; r. Franco Giraldi, w. Senta Berger, Gianni Garlia, Cristina Marsillach

PONIEDZIAŁEK, 12 XI

15.30 (II): SZUANI (1)
p. niżej – godz. 22.10
17.55 (I): RODZINA KANDERÓW (8)
serial polski; 1988; 55'; r. Zbigniew Chmielewski; w. Tadeusz Madeja, Krystyna Kołodziejczyk-Szyszko, Anna Kaźmierczak, Marek Kalita
Rok 1962. Władek dowiaduje się, że Antoni nie jest jego ojcem.
22.10 (II): SZUANI (1)
Les chouans; serial francuski; 1988; 52'; r. Philippe de Broca; w. Sophie Marceau, Lambert Wilson, Philippe Noiret, Stephane Freiss
Serialowa wersja filmu kinowego wyświetlanego niedawno w TVP. Widowisko awanturniczo-romansowe z czasów Rewolucji Francuskiej. Rok 1793 – we Francji szaleje terror rewolucyjny. W prowincji Wandea, gdzie mieszka wynalazca Aurel (Noiret) z dziećmi, panuje pozorny spokój.

WTOREK, 13 XI

9.10 (II): SANTA BARBARA (77)
serial USA; 1985; 45'; r. Gary Bowen; w. Charles Bateman, Marcy Walker, Judith McConnel, A. Martinez
9.55 (I): DYNASTIA (50)
p. niżej – godz. 20.05
17.00 (II): NATIONAL GEOGRAPHIC (4)
p. Różne
20.05 (I): DYNASTIA (50)
Dynasty; serial USA; 1982; 48'; r. Alf Kjellin; w. John Forsythe, Linda Evans, Pamela Sue Martin, John James, Joan Collins, Gordon Thomas, Heather Locklear
21.25 (I): DE GAULLE – NIE KOŃCZĄCE SIĘ WYZWANIE (1): BUNTOWNIK
p. Różne

ŚRODA, 14 XI

9.10 (II): SANTA BARBARA (78)
12.15 (II): CÓRY SŁOŃCA (2): MAYDINA – KOBIETA CIEŃ
Women of the Sun – Maydina The Shadow; serial australijski; 1982; 51'; r. David Stevens; w. Mawiyul Yantkaluway, Julia Blake.
Rok 1885. Aborygenka Maydina z małą córeczką w poszukiwaniu pracy przybywa na farmę pani McPhee, gdzie Aborygeni z okrutną konsekwencją nawracani są na chrześcijaństwo przez właścicielkę i księdza, a ich kultura niszczona.
16.50 (I): KARINO (10): POGOŃ ZA LISEM
p. Filmy dla dzieci

Dla dzieci

JEETER MASON I MAGICZNE SŁUCHAWKI

PONIEDZIAŁEK, 17.00, II

Kto nie zna bajki o złotej rybce? Bajka powstała w Europie, przekazywano ją w różnych wersjach narodowych, ale wymowa jej surowego morału wszędzie jest taka sama: chciwość nie popłaca. Pyszny i pazerny zostanie ukarany. Kto chce mieć wszystko – nie dostanie nic.

Skromny amerykański filmik telewizyjny „Jeeter Mason i magiczne słuchawki" to kolejna wersja tej samej bajki. Wersja specyficzna: złotą rybkę zastąpił księżycowy kamień przez słuchawki walkmana mówiący zniekształconym głosem Marcy Walker do właścicielki, jedenastoletniej Jeeter. Ta sympatyczna dziewczynka wcale nie jest zachłanna. Przeciwnie, obezwładnia ją nieśmiałość, nie umie się wybić na lekcjach tańca, niezbyt dobrze idzie jej gra na skrzypcach. Chodzi tu więc o zdobycie bogactwa innego rodzaju: woli współzawodnictwa, woli sukcesu. W tradycji amerykańskiej pedagogiki i amerykańskich filmów rodzinnych jest to wartość bardzo cenna, istny skarb.

Tego skarbu Jeeter na razie nie zyska. Zamiast niego od cudownego kamienia otrzymuje cenną wskazówkę: w ważnych życiowych momentach należy liczyć tylko na siebie, na swój upór i wolę rywalizacji.

Zakończenie wzięte jest nie z bajkowej lecz z komediowej tradycji, a zaświadcza o tym, że ciągle jeszcze – dobrze to, czy źle – różnimy się od Amerykanów.

DANUTA TARAPACZ

Z lewej Donelly Rhodes (doktor Grant Roberts)

NIEBEZPIECZNA ZATOKA

NIEDZIELA, 10.00, I

Niedoceniani zazwyczaj autorzy seriali dla młodzieży mają problemy podobne do tych, przed którymi stają ich koledzy od „dorosłej" twórczości, a także całą masę dodatkowych. Poruszają się wszak w ograniczonej przestrzeni fabularnej i psychologicznej a obciążają ich jeszcze powinności wychowawcze. Z tym jest zawsze największy kłopot.

Na całym świecie powstają setki seriali młodzieżowych uwięzionych w gorsecie naiwnego dydaktyzmu i formalnej sztampy. Trzeba więc z uznaniem podkreślić, że twórcom kanadyjskiego serialu „Niebezpieczna zatoka" udało się ominąć pułapki umoralniającego banału i nudy. Rozgrywające się w dwóch planach (młodzież i dorośli) wątki psychologiczno-obyczajowe połączyli z przygodową akcją o tematyce ekologicznej. Oczywiście Kanadyjczycy nie wymyślili tu niczego oryginalnego, potrafili jednak nadać serialowi własny styl. Właśnie forma jest niewątpliwym atutem „Niebezpiecznej zatoki".

Werwa i lekkość narracji, umiejętne, płynne przeplatanie motywów sensacyjnych i rodzinnych. Efektowny, pełen humoru sposób opowiadania zręcznie tuszuje słabości dramaturgiczne i powtarzalność niektórych pomysłów.

Niezbędnym warunkiem sukcesu takiego serialu są budzące sympatię sylwetki bohaterów. „Niebezpieczna zatoka" wykreowała kilka umiejętnie skonstruowanych postaci, które zapewniają serialowi powodzenie u publiczności i przedłużają jego telewizyjny byt (oglądamy już trzecią serię). Trudno nie polubić Granta „Doca" Robertsa, szlachetnego miłośnika i obrońcy przyrody, jego uroczej, pełnej temperamentu przyjaciółki J.L. Duval i dwójki dzieci: Jonaha przeżywającego niepokoje wczesnej młodości oraz Nicole wyrastającej w przyspieszonym tempie z fatałaszków i sposobu myślenia podlotka.

„Niebezpieczna zatoka" nie wyrzeka się całkowicie intencji wychowawczych. Są one jednak, podobnie jak zamiary popularyzatorskie, dyskretnie wpisane w emocjonującą akcję.

KRZYSZTOF DEMIDOWICZ

SOBOTA, 10 XI

10.00 (I): PRZYGODY NA KITHIRZE (1)
Adventured in Kythera: Stool Pigeon; serial australijski; 1989; 30'; r. John Tatoulis

10.30 (II): CUDOWNE LATA (19): URODZINY
The Wonder Years: Birthday Boy; serial USA; 1988; 23'; r. Steve Miner; w. Fred Savage, Dan Lauria, Josh Saviano, Alley Mills, Olivia d'Abo, Danica Mc Kellar
Przygotowania do uroczystości przyjęcia Paula do dorosłej społeczności żydowskiej. Kevin trochę zazdrości przyjacielowi i marzy o równie uroczystych urodzinach.

NIEDZIELA, 11 XI

10.00 (I): NIEBEZPIECZNA ZATOKA (10): PODWODNA PRÓBA
Danger Bay: Pressure Point; serial kanadyjski; 1986: 25'; r. John Eckert; w. Donelly Rhodes, Susan Walden, Christopher Crabb, Ocean Hellman
Grant i Jonah biorą udział w próbach sprawności nowych łodzi podwodnych. Grozi im niebezpieczeństwo – na zlecenie konkurencyjnej firmy dokonano groźnego sabotażu.
Recenzja obok

19.00 (I): MYSZKA MIKI I KACZOR DONALD
animowany; USA; 25'
Pierwsza z coniedzielnych „Wieczorynek" na które będą się składać po trzy klasyczne krótkometrażówki animowane z postaciami stworzonymi przez Walta Disneya – Myszką Miki, Myszką Minnie, Kaczorem Donaldem, Psem Pluto.

PONIEDZIAŁEK, 12 XI

17.00 (II): JEETER MASON I MAGICZNE SŁUCHAWKI
Jeeter Mason and the Magic Headset; USA; 1989; 32'; r. Claude Kerven; w. Kim Hauser, Lilli Mell-Warren, Marcy Walker
Życie jedenastoletniej Jeeter zmienia magiczny podarunek – księżycowy kamień, który porozumiewa się z dziewczynką za pomocą walkmana i pomaga jej w życiowych trudnościach.
Recenzja obok

WTOREK, 13 XI

8.15 (II): ULICA SEZAMKOWA

ŚRODA, 14 XI

8.15 (II): ULICA SEZAMKOWA

16.50 (I): KARINO (10): POGOŃ ZA LISEM
serial polski; 1975; 26'; r. Jan Batory; w. Claudia Reischel, Tadeusz Szmidt, Karol Strasburger
Karino bierze udział w biegu świętego Huberta. Stolarek w roli „lisa" ułatwia mu wygranie wyścigu.

CZWARTEK, 15 XI

8.15 (II): ULICA SEZAMKOWA

18.30 (II): CUDOWNE LATA (19): URODZINY
powtórzenie z 10 XI

PIĄTEK, 16 XI

8.15 (II): ULICA SEZAMKOWA

21.55 (II): W LABIRYNCIE (88)
serial polski; 1990; 29'; r. Paweł Karpiński; w. Marek Kondrat, Dariusz Kordek, Sławomira Łozińska, Wiesław Drzewicz

CZWARTEK, 15 XI

9.10 (II): SANTA BARBARA (79)

9.35 (I): ULICE SAN FRANCISCO (10): ROZWIANE MARZENIE
p. niżej – godz. 20.05

18.30 (II): CUDOWNE LATA (19)
powtórzenie z 10 XI

20.05 (I): ULICE SAN FRANCISCO (10): ROZWIANE MARZENIE
Streets of San Francisco: Shattered Image; serial USA; 1975; 52'; r. Arthur Madel; w. Karl Malden, Michael Douglas

PIĄTEK, 16 XI

9.10 (II): SANTA BARBARA (80)

9.35 (I): ŻYCIE OD KUCHNI (11): ZAWIESZENIE
Rozpaky kuchare Svatopluka: Podnimka; serial czeski; 1984; 55'; r. František Filip; w. Josef Dvorak, Katerina Machacková, Josef Somr
Świętopełk przyjmuje do kuchni na próbę, kucharza zwolnionego warunkowo z więzienia.

12.00 (II): BAGDAD CAFE (5)
serial USA; 1989; 30'; r. Paul Bogart; w. Whoopi Goldberg, Jean Stapleton

12.50 (II): CRIME STORY (20)
p. niżej – godz. 21.55

16.00 (II): W LABIRYNCIE (88)
powtórzenie z 14 XI

17.00 (II): NAD NIEMNEM (3)
miniserial polski; 1986; 50'; r. Zbigniew Kuźmiński; w. Iwona Pawlak, Adam Marjański, Marta Lipińska, Janusz Zakrzeński
Justyna coraz bardziej zakochana w Janie Bohatyrowiczu zrywa z Korczyńskim
Recenzja na stronie obok

18.10 (I): STAR TREK – NASTĘPNE POKOLENIE (11): ZABAWA W CHOWANEGO
Star Trek – Next Generation: Hide and Q; serial USA; 1987; 46'; r. Cliff Bole; w. Patrick Stewart, Jonathan Frakes, Michael Dorn
USS „Enterprisse" zostaje przechwycony przez obce istoty Q, które proponują załodze morderczą grę wojenną.

21.55 (II): CRIME STORY (20)
serial USA; 1987; 46'; r. Francis Delia; w. Dennis Farina, Anthony Denison, Steve Ryan

Hollywoodzkie skandale: pieniądze, morderstwo, narkotyki. Kulisy produkcji są czasem bardziej sensacyjne niż sam film.

Jack Nicholson w „Chinatown"...

W PIĄTEK, TRZYNASTEGO

Pyramid Lake na północ od Los Angeles, w górzystym terenie niedaleko autostrady w kierunku Sacramento, należy do rezerwuarów zaopatrujących metropolię w wodę. W sławnym thrillerze Polańskiego „Chinatown", którego akcja rozgrywała się w latach 30., szło właśnie o rozbudowę owego pierścienia zbiorników i olbrzymie profity osiągane przy okazji przez pozbawionych skrupułów spekulantów. Prywatny detektyw Jake Gittes alias Jack Nicholson był tam świadkiem wyławiania z wody ciała jednego z wtajemniczonych w aferę.

Czarny scenariusz

Jake Gittes alias Jack Nicholson wrócił znowu na ekran w filmie „The Two Jakes" (Dwóch Jake'ów), mając tym razem do czynienia ze skandalem w Los Angeles wokół sprzedaży terenów roponośnych pod koniec lat 40. i znów będąc świadkiem mordu, dokonanego na głównym aferzyście.

Dwa albo trzy kilometry od Pyramid Lake znajduje się Caswell Canyon, jedna z setek „rynien" przecinających pustkowie, po jakim poruszał się Jake Gittes. Na początku czerwca 1983 pewien bartnik, pragnący założyć tu pasiekę, natknął się na zwłoki dużego, masywnego mężczyzny. Trup miał na sobie buty od Gucciego i krawat od Cardina oraz wieczorowy garnitur z ekskluzywnego magazynu w Beverly Hills, a twarz zmasakrowaną 13 (!) strzałami z wielkokalibrowej strzelby. Zwłoki, które mogłyby leżeć nieodkryte jeszcze wiele miesięcy lub lat, były trudne do rozpoznania, lecz po dwóch dniach badań zostały zidentyfikowane. Ofiarą okazał się zaginiony od 4 tygodni 33–letni Roy Radin, przedsiębiorca w nowojorskim show-businessie.

Radin sam zatroszczył się o to, aby jego zniknięcie nie pozostało niezauważone: kazał się ochraniać, kiedy w piątek 13 maja 1983 opuszczał swój hollywoodzki hotel i w towarzystwie atrakcyjnej blondynki wsiadał do luksusowej limuzyny. Planowana była „kolacja pojednania" w restauracji „La Scala" w Beverly Hills – po konflikcie między nimi w kwestii 35–milionowej inwestycji w trzy projekty filmowe, łącznie z „The Two Jakes". Wyjazd tej pary obserwowała prywatna sekretarka Radina oraz jego przyjaciel i kompan, aktor telewizyjny Damond Wilson, który na życzenie Radina, uzbrojony w rewolwer, miał za nim podążyć drugim autem. Ale w ślad za Radinem wyruszył też inny samochód. W ruchu ulicznym na Sunset Boulevard Wilson zgubił trop i sam dojechał do „La Scali", gdzie przez dwie godziny czekał na Radina daremnie.

Indagowana później blondynka wyjaśniła, że między nią a Radinem doszło do ponownej sprzeczki, wysiadła więc i resztę wieczoru spędziła w domu pewnego młodego adwokata, skąd telefonowała do producenta filmowego Roberta Evansa, partnera we wspomnianym, 35–milionowym interesie. Następnie wyjechała na Florydę, choć – jak się potem okazało – przygotowania do wyjazdu poczyniła już dzień przed tajemniczymi wydarzeniami. Nazywała się Lanie Jacobs i przyjechała z Miami jako wysłanniczka centrali handlu kokainą.

Partnerzy

Robert Evans był królem hollywoodzkich producentów w latach 60. i wczesnych 70., jego hobby stanowiły piękne samochody i piękne kobiety. Przez jednego z szoferów zawarł znajomość z Lanie Jacobs, która – niczym kobieta fatalna w melodramatycznym scenariuszu – skontaktowała się z Royem Radinem, swoim kochankiem i współuczestnikiem narkotycznych sjest. Obu mężczyzn zbliżył interes: Evans pilnie potrzebował zasobnego wspólnika, Radin zaś pragnął zrobić karierę na skalę większą, niż jego dotychczasowa działalność rozrywkowa.

Dwukrotnie rozwiedzionego Radina otaczała aura ciemnych spraw. Syn właściciela nocnych lokali, miewał kolizje z prawem – a to o nadużycia finansowe, a to o gwałty i orgie, urządzane w jego 72–pokojowym pałacu na Long Island. Niczego mu nie udowodniono, lecz po utracie zastrzelonego współpracownika i po podejrzeniach o udział w transporcie heroiny sprzedał zamek i przeniósł się na Zachodnie Wybrzeże, chcąc podbić Hollywood. Na tydzień przed swym zniknięciem widział się z Evansem w Manhattanie, aby obgadać przygotowania do filmów „Cotton Club" i „The Two Jakes".

Evans, rocznik 1930, syn dentysty praktykującego w Harlemie, rozpoczął karierę jeszcze jako chłopiec, w serialach radiowych i jako hotelowy *disc–jockey.* Lubił grać i wygrywać – na razie w tenisa i golfa. Jako 20–latek bez wykształcenia postanowił zostać człowiekiem interesu. Założył z powodzeniem firmę damskiej konfekcji, gdzie odkryła go dla filmu Norma Shearer, gwiazda lat 30., poszukująca kandydata do roli swego zmarłego męża. I tak w 1957 roku Evans zadebiutował na ekranie jako legendarny producent Irving Thalberg, a potem zaangażowany został jako partner Avy Gardner w ekranizacji Hemingwayowskiej powieści „Słońce też wschodzi". Ocenił jednak siebie jako aktora „nędznego", sprzedał dom mody i uzyskany kapitał przeznaczył na to, aby zostać producentem filmowym.

Poczynał sobie w tej dziedzinie śmiało i tak skutecznie, że w wieku 36 lat awansował na stanowisko szefa produkcyjnego Paramountu, którą to przywiędłą wytwórnię doprowadził w ciągu 8 lat do rozkwitu. 39 nominacji do Oscara było ukoronowaniem roku jego działalności. Miał instynkt, talent menedżera i tzw. nosa oraz kochał ryzyko: wykołował konkurenta w prawach do sfilmowania „Dziecka Rosemary" i ściągnął Polańskiego do Hollywood; nakłonił Coppolę do realizacji „Ojca chrzestnego"; nakręcił wykpiwaną przez innych „Love Story" (ze swoją żoną Ali MacGraw w roli głównej), w ostatniej chwili odrzucając całą ilustrację muzyczną i osobiście załatwiając w Paryżu kompozycję Francisa Lai.

Miejsce zbrodni: Pyramid Lake

Czterokrotnie żonaty, był Evans zawołanym adoratorem sławnych kobiet, które zniewalał czarem osobistym, ale i urokiem swej pozycji w świecie filmowym. Bogatszym o 15 milionów dolarów uczyniło go w roku 1974 wyprodukowanie „Chinatown" według scenariusza Roberta Towne (któremu Polański zmienił i wzmocnił zakończenie). Towne przygotował również projekt drugiej części – „The Two Jakes".

Koło fortuny

Lecz w tym czasie kariera Evansa uległa dziwnej odmianie. Jego dwa kolejne filmy poniosły klapę, a on sam oskarżony został o nadużywanie kokainy, z którą zawarł znajomość wcześniej, w latach 70., gdy stało się to modne w Beverly Hills (obejmując także Jacka Nicholsona). Za posiadanie narkotyku został nawet raz ukarany przez sąd salomonowym wyrokiem sędziego, który kazał mu wyłożyć z własnej kieszeni pół miliona dolarów na realizację telewizyjnego show o niebezpieczeństwach nałogu...

Hollywood nie pozostał obojętny na taki rozwój sytuacji – nikt nie chciał wyłożyć pieniędzy na nowe projekty Evansa. Ten, jako wytrawny gracz, postanowił postawić wszystko na jedną kartę: założył niezależną firmę i za resztę kapitału nabył prawa realizacji „Cotton Club". Wydawało się, że powiedzie mu się pozyskanie finansowych wspólników, ale po kolei wycofali się ze współpracy – przemysłowiec zbrojeniowy Adnan Kaschoggi i libańscy właściciele kasyn w Las Vegas, bracia Doumani. Wtedy na horyzoncie pojawił się Roy Radin ze swymi 35 milionami.

Czy rzeczywiście ze swoimi, tego dokładnie nie wiadomo, gdyż na spotkaniu z Evansem w Manhattanie stawili się do rozmów o udziałach i zyskach także pewien portorykański finansista i Lanie Jacobs. Targi musiały być zażarte, skoro Radin z furią opuścił dom i nie chciał przystać na dalsze pertraktacje. W tydzień po tym spotkaniu zginął.

W dwa dni później Evans udał się do San Francisco, by finalizować wymarzony przez siebie „Cotton Club", lecz odsunął go od wszystkiego Coppola, który przerobił scenariusz, objął reżyserię i tak przekroczył budżet, że American Express odebrał kartę kredytową zadłużonemu Evansowi. Desperacko postanowił więc ratować się realizacją „The Two Jakes", gdzie miał też zagrać rolę spekulanta mordującego swego wspólnika, ale obaj ze scenarzystą – reżyserem Towne zachowywali się tak histerycznie, że wypłoszyli z planu zdjęciowego Nicholsona i prace przerwano. Chyba z 50 adwokatów zajętych było przez kilka następnych miesięcy w licznych procesach o odszkodowania.

Po nitce...

Przez pięć lat panowała cisza wokół zwłok odkrytych w Caswell Canyon, gdy nagle zgłosił się na policję człowiek pragnący rzecz ujawnić, zresztą za cenę ratowania własnej skóry w innym przestępstwie. Były komandos z Wietnamu, zatrudniony jako „goryl" w przemyśle pornograficznym, obwinił o dokonanie morderstwa trzech swoich kolegów pod wodzą niejakiego Williama Mentzera, pozostającego na służbie u Lanie Jacobs. To ona razem z Evansem miała opłacić zabójców. Po nitce do kłębka ustalono jeszcze, iż w niejasnych okolicznościach zastrzelony został mąż tej pani i atrakcyjną blondynkę aresztowano w roku 1988.

Nieoczekiwanie odżyła wówczas sprawa „The Two Jakes", gdyż podczas strajku autorów sięgnięto na półkę po scenariusz Towne'a. Nicholson go udoskonalił i na fali sukcesu po „Batmanie" objął reżyserię. Zdjęcia rozpoczęto w maju 1989 przed gmachem sądu w Los Angeles, gdzie w tym samym tygodniu zainaugurowano proces o zabójstwo Radina – przeciwko Jacobs i Mentzerowi. Zeznawał też Robert Evans. Nie wydaje się jednak prawdopodobne, by zainspirował mord, co najwyżej wmówił Lanie Jacobs, że we wspólnych interesach mogliby obejść się i bez Radina. W każdym razie – spanikowany niepowodzeniami i znarkotyzowany Evans wkroczył jednak w świat zbrodni...

Dobił teraz sześćdziesiątki. Ma się dobrze: nabył właśnie prawa do sfilmowania intymnych dzienników Ferdynanda Marcosa i planuje wielki epos ekranowy, z udziałem być może Jacka Nicholsona w roli byłego dyktatora Filipin.

Opr. W.C.
(z relacji tyg. „Der Spiegel")
Zdjęcia Der Spiegel

Robert Evans: inspirator?
Lanie Jacobs: *femme fatale*

Literatura zawdzięcza mu nobilitację. Spielberg uważa go za swego duchowego ojca.

NIECO HEMOGLOBINY W SNACH

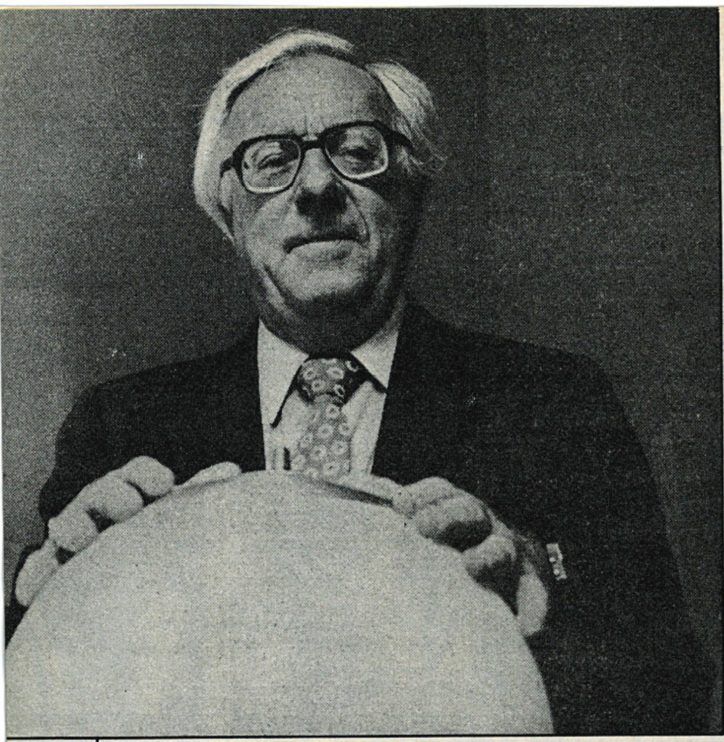

Ray Bradbury

Ray Bradbury to już klasyk fantastyki. Dość wymienić „Kroniki marsjańskie" czy powieść „Fahrenheit 451". Jego proza interesuje filmowców. Michel Le Bris z „Le Nouvel Observateur" spotkał się z pisarzem.

– Wie pan, ja jestem przede wszystkim dzieckiem kina! W młodości oglądałem wszystko, co tylko znalazło się na ekranach. Teraz już rzadziej chodzę do kina. Zbyt wiele filmów robi się obecnie dla czternastolatków. A ja mam tylko 12 lat!

Śmieje się, jego złośliwe spojrzenie ukrywają grube szkła okularów. Tak, wprawdzie posiwiał i zaokrąglił się, ale ma ciągle 12 lat, chociaż w dokumentach wpisano mu już siedemdziesiątkę. Czas jakby się dla niego zatrzymał. Od „Kronik marsjańskich" (rok 1951) i „Fahrenheita 451" (rok 1953), książek, które przyniosły mu światowy rozgłos, nadal, w nieskończoność zakreśla te same nostalgiczne arabeski. Pisze o nieuleczalnych cierpieniach, jakie niesie ze sobą samotność, o strachach dzieciństwa, o wyłaniających się z ciemności zapomnianych światach. Nadal snuje liryczne sny, a jego dialogi są ostre jak brzytwa.

O kinie może mówić całymi godzinami. Wspomina kinowe seanse w Waukegan (stan Illionois), na które trzy razy w tygodniu chodził z matką, pokazuje swoje zdjęcie przed wytwórnią Paramount z Marleną Dietrich, gdy miał 14 lat, opowiada o swoich spotkaniach z Fritzem Langiem (Lang marzył o adaptacji „Kronik marsjańskich"), Johnem Hustonem, Truffautem, Spielbergiem...

– Moje pierwsze wspomnienia, nie tylko kinowe zresztą, są związane z „Dzwonnikiem z Notre-Dame" i „Upiorem w operze". Miałem wtedy 3 lata, ale do dzisiaj pamiętam scena po scenie oba te filmy. Uwielbiałem ponad wszystko na świecie Lona Chaneya. Naśladowałem jego miny, zrobiłem sobie wielkie czarne skrzydła z peleryny mojej matki. Nie zapomniałem także o wieszaniu na drzewach manekinów, aby napędzić stracha moim kolegom. Matka już wtedy, w dzieciństwie, czytała mi opowiadania Edgara Poe. Muszę także dodać, że moja pra-pra-babka, Mary Bradbury w XVII wieku została oskarżona o czary w Salem. Kino było dla mnie zawsze magią.

Moimi idolami są nadal tacy reżyserzy, jak David Lean. Jego „Lawrence'a z Arabii" obejrzałem 30 razy. Tak bardzo chciałem z nim pracować! Kiedyś posłałem mu kilka moich książek. Niestety, bardzo grzecznie odpowiedział, że zupełnie mu się nie spodobały.

Felliniego uważam za mojego bliźniaczego brata. Przed kilku laty spędziłem z nim cały tydzień w Rzymie. Jakże jesteśmy do siebie podobni! I on i ja cenimy komiksy, „Upiora w operze", cyrk, magików. „Amarcord" to dla mnie jeden z najpiękniejszych filmów w dziejach kina.

Dla Johna Hustona pisałem scenariusz z „Moby Dicka". Spędziłem z nim siedem zupełnie szalonych miesięcy w Irlandii. To później znalazło się w moim opowiadaniu „Banshee".

Szczególnie ciepło wspominam Françoisa Truffaut. Ta końcowa scena z „Fahrenheita 451" ... Czyż nie należy do najpiękniejszych w historii kina? Mówię tak dlatego, że jej autor to Truffaut, nie ja. Ci ludzie-książki błąkający się w śniegu... Za każdym razem, kiedy to oglądam, wilgotnieją mi oczy. To jak magia. Absolutna magia. Jest w tym tyle smutku i tyle szalonej nadziei.

Jest, oczywiście, także Spielberg, którego uważam po trosze za mojego duchowego spadkobiercę. W zakończeniu „Bliskich spotkań trzeciego stopnia", ten Bóg zstępujący z niebios i Adam idący na spotkanie... Jest w tym piękno poruszające najczulsze struny serca. Bo przecież od zarania czasu ludzie po to właśnie żyją. Powiedziałem o tym wszystkim Spielbergowi. Wykrzyknął: „Ależ to jest pański film! Pan jest dla mnie jak ojciec! Bez pana nigdy bym nie zrobił tego filmu!"

Bradbury nie znosi samolotów. Po raz pierwszy odbył samolotową podróż, gdy miał już 62 lata. Poleciał ze Stanów do Wenecji, gdzie „Fahrenheit 451" zdobył Złotego Lwa. A jego wypowiedzi przeciwko samochodom są słynne.

Pyta: – Gdzie są ludzie skłonni manifestować przeciwko tej masakrze? Gdzie transparenty przeciwko uśmiercaniu setek tysięcy ludzi? Pewnego dnia postanowiłem, że nigdy nie usiądę za kierownicą i nie zostanę takim potworem, jak inni.

Nie jestem wrogiem postępu. Dzień 20 lipca 1969 to jedna z największych dat w dziejach ludzkości. Wtedy bowiem człowiek wyszedł ze swojej ziemskiej łupiny, stał się częścią wszechświata, stąpając po Księżycu!

Nieporozumienie, jakobym był wrogiem nauki bierze się stąd że nieustannie przypominam wszystkim, którzy o tym zapomnieli, iż wszystko zaczyna się od marzeń, snów. Dla wystrzelenia rakiety trzeba wiele poezji. Jules Verne i Edgar Rice Burroughs zrobili dla ludzkości więcej niż większość intelektualistów.

Fantastyka, horror to moja domena, ale ostatnio kino nieco mnie rozczarowuje. „Nawiedzony dom" Roberta Wise był arcydziełem, ponieważ wszystko w tym filmie zostało zasugerowane, a nie pokazane. Do arcydzieł należy także „Egzorcysta", bo to baśń z morałem. Mówi nam, iż ziemia pod naszymi stopami to tylko cienka warstewka, przez którą wszyscy potrafimy się przebić. Ale ta dzisiejsza powódź hemoglobiny z ekranu, to naprawdę okropne!

Codziennie Ray Bradbury opuszcza swoją willę w Cheviott Hill aby zasiąść w biurze w Beverly Hills. Tam pracuje jak galernik. Jego dzienna norma to 12 stron, bo jego pisarskie plany to sześć różnych tekstów jednocześnie. Nowele dla pism, scenariusze dla serialu „Ray Bradbury Theatre". A także książki.

– Skończyłem powieść „A Graveyard for Lunatics". Mam na warsztacie następną, o Irlandii. A także opowiadania. A potem chciałbym wreszcie skończyć książkę o Johnie Hustonie.

Opr. MOL

„Fahrenheit 451", reż. François Truffaut

Denzel Washington

Dzieje ekscentrycznego trębacza

MO' BETTER BLUES

Spike Lee ma już od kilku lat licznych wielbicieli uznających go za reprezentanta nowej generacji twórców afro-amerykańskich, przynoszących nieskażony białym szowinizmem obraz obyczaju amerykańskich Murzynów. Sławę wykraczającą poza Nowy Jork przyniósł mu w 1986 roku film „She's Gotta Have It" (nagroda za debiut na festiwalu w Cannes) oraz Oscar za scenariusz filmu „Do the Right Thing" (1989). Obejrzałem, niestety, dopiero trzeci z jego filmów. „Mo' Better Blues" na tegorocznym festiwalu w Wenecji. Przeszedł bez większego wrażenia i doprawdy trudno dopatrzeć się w nim szczególnego nowatorstwa.

„Etniczność" filmu wyraża się w zaludnieniu ekranu niemal wyłącznie czarnoskórymi aktorami. Prócz pewnej białej panienki usiłującej zawładnąć zdolnym muzykiem, jest jeszcze tylko dwu braci Żydów, właścicieli nocnego klubu jazzowego „Beneath the Underdog", w którym występuje główny bohater, trębacz jazzowy Bleek Gilliam. Żydzi są niesympatycznymi dusigroszami, co z miejsca ściągnęło na Spike'a Lee oskarżenia o antysemityzm. Akcja rozgrywa się w Brooklynie; środowisko sportretowane jest atrakcyjnie, nie bez podkreślania swoistej egzotyki, przede wszystkim w języku (znajomy Anglik wyznał, że zrozumiał co najwyżej połowę dialogów), w strojach i fryzurach, a nawet imionach: żadna z głównych postaci nie nosi imienia wywodzącego się z Biblii czy tradycji chrześcijańskiego kalendarza.

Trudno jednak cudzoziemcowi ocenić, czy owa egzotyka wiąże się ze specyfiką afro-amerykańską, czy środowiskową: toć nawet w Polsce muzycy rozrywkowi, „klezmerzy", posługiwali się własnym żargonem. Jeśli chodzi o główny wątek, „Mo' Better Blues" jest po prostu zręcznie skomponowaną opowieścią o artyście nie znajdującym korzystnej relacji ze społeczeństwem. Takie filmy powstają od dziesięcioleci, na ogół według schematu: błyskotliwy sukces – walka o doskonałość – apoteoza, albo: długie lata poniewierki – uznanie – klęska spowodowana własnymi słabościami. Jesteśmy w tym przypadku bliżsi schematu drugiego.

Bleek Gilliam ma jednak cechę wyróżniającą go spośród wielu ekranowych poprzedników, których przedstawiano zawsze jako bohaterów do lubienia, jeśli nie kochania. Grany przez doskonałego aktora (Denzel Washington, laureat Oscara za rolę drugoplanową w filmie „Krzyk wolności" Attenborougha) Bleek jest przystojny, utalentowany, pracowity, otoczony uznaniem, kochany przez dwie atrakcyjne kobiety – jednak polubić go nie sposób. Lee i Washington stworzyli interesujące studium paranoi. Bleek Gilliam żyje w świecie swojej muzyki, zamknięty na wszystko, co nią nie jest. Jest faktycznie niewolnikiem i to niewolnictwo w pełni akceptuje, znajdując w nim ucieczkę od trosk i pełnię zaspokojenia. Żadna kobieta nie jest w stanie dać mu tego poczucia bezpieczeństwa i ukojenia, jakie znajduje na estradzie. One też, kobiety, toczą przede wszystkim walkę o duszę Bleeka.

W tym psychicznym murze otaczającym Gilliama, jest tylko jedna szpara: sympatia i lojalność wobec „Gianta", istoty najzupełniej bezwartościowej, wiecznie przegranego *loosera* (tę rolę z prawdziwym mistrzostwem gra sam Spike Lee). Bleek zatrudnia go w roli menedżera, choć „Giant" nie jest w stanie zorganizować niczego, a jego pasja do hazardu nieustannie wplątuje cały zespół w kłopoty finansowe.

Dlaczego Bleek gotów jest dla „Gianta" poświęcić wszystko, nawet swój zespół, który jest dla niego racją istnienia? Scenariusz daje wskazówkę bardzo subtelną i łatwą do przeoczenia. Kiedy Bleek był małym chłopcem i ojciec zmuszał go do wielogodzinnych ćwiczeń z trąbką, to właśnie mały „Giant" najgłośniej krzyczał pod domem: „Bleek, chodź się bawić" i czasem pozwalało to skrócić męczarnie. Odtąd silny, zdeterminowany, utalentowany Bleek zachował lojalność wobec małego, śmiesznego *loosera*. Raz tylko sprzeniewierzy się tej przyjaźni. Właśnie w momencie swego największego triumfu, gdy wykonuje tytułowy „Mo' Better Blues", na zapleczu klubu dwu punków masakruje „Gianta", który nie wypłacił się bookmacherowi. Ale to także kres kariery Bleeka.

W sumie – znakomite „oglądadło". Obok świetnie, nowocześnie, bez sentymentalizmu grających Denzela Washingtona i Spika Lee, mamy dwie atrakcyjne kobiety – Joie Lee i Cyndę Williams – i mnóstwo doskonałego jazzu, głównie w wykonaniu kwartetu Branforda Marsalisa; już tylko po to, by usłyszeć jak Marsalis gra „Harlem Blues" Handy'ego, warto się wybrać do kina.

OSKAR SOBAŃSKI

MO' BETTER BLUES, reż. Spike Lee, USA.

Portret na życzenie

Robin WRIGHT

Jest z pewnością jedną z najpiękniejszych bohaterek serialu „Santa Barbara". Grała Kelly Capwell od samego początku, to znaczy od 1984 roku, natomiast szybko zmieniali się jej partnerzy: aż czterech różnych aktorów występowało kolejno w roli ojca, dwóch w roli męża. Wieloletnie seriale cierpią z powodu wędrówek wykonawców, z których nie wszyscy decydują ograniczać się do jednej tylko roli kontynuowanej całe lata. – *Pewnego dnia znalazłam się w łóżku przed kamerą z mężem, którego poznałam zaledwie pięć minut przed zdjęciami!* – mówi aktorka. Ale wierna publiczność przymyka oczy na zmiany twarzy: ważna jest postać z fabuły. Robin porzuciła po raz pierwszy swoją telewizyjną rodzinę aby zagrać główną rolę w filmie „Księżniczka narzeczona" (The Princess Bride) u boku Billy Crystala i Petera Falka. – *Były to prawdziwe wakacje* – wyznaje, zaraz jednak broni „swojego" serialu – *Postać Kelly zmienia się, nabiera charakteru. Z ukochanej córeczki tatusia staje się kobietą – choć ciągle bywa ofiarą mężczyzn...* Włożyła w tę rolę wiele uczucia, co zostało docenione nie tylko przez publiczność, ale i nagrodzone: jest dwukrotną laureatką cenionego wyróżnienia „Emmy" za rolę w serialu dramatycznym. Dopiero dziś próbuje kariery gdzie indziej.

Urodzona w Dallas, zaczynała jako modelka-nastolatka. Jej zdjęcia cieszyły się popularnością, została więc porwana przez telewizyjną reklamę, występując w wielu efektownych reklamówkach. Sieć NBC zaprosiła ją do gościnnej roli w serialu „Żółta róża" (The Yellow Rose) – i tak odbyło się jej pasowanie na aktorkę. Na dużym ekranie zagrała w komediowym „Hollywood Vice Squad" (1966), parodii policyjnych widowisk, gdzie towarzyszyła jej Carrie Fisher – księżniczka Leia z „gwiezdnej sagi" i Ronny Cox. W tym czasie grała już Kelly w „Santa Barbarze".

Skromna, wesoła, jest typową „kalifornijską dziewczyną", uprawiającą jogging, pływanie, narty i – gotowanie. – *Dobra kuchnia to sztuka, a ja uważam się za koneserkę!* – mówi. W okresie „Santa Barbara" była narzeczoną Dane Witherspoona, ale w 1987 roku poznała Seana Penna, wówczas w samym środku burzliwego związku z Madonną. Wystąpiła z nim w filmie „Stan łaski" (State of Grace) Phila Joanou – i pozostali już razem. Dziś Robin oczekuje dziecka Seana – i z tego powodu nie może wystąpić w nowej wersji „Przygód Robin Hooda" u boku Kevina Costnera. Zdążyła natomiast zagrać w filmie, w którym Sean Penn debiutuje jako reżyser – „The Indian Runner" (Indiański biegacz).

Teraz oczekuje największej roli: matki.

Z Seanem Pennem: „Stan łaski"

Nasz rynek kasetowy przypomina „ogród nieplewiony" i trudno zorientować się w zmiennej hierarchii gustów. Sądząc z listów do rubryki, nagłą popularność zyskał teraz Sam Jones dzięki filmom „Milczący mordercy" (Silent Assasins) i „Flash Gordon" w wersji z 1980 roku. Pierwszy film powstał w 1988 roku, napiszemy coś więcej, kiedy wpadnie nam w ręce kaseta, natomiast o przystojnym, ale drewnianym aktorsko Samie wiemy, że był piłkarzem zanim trafił przed kamery, zresztą najpierw w filmach reklamowych, że urodził się w Chicago 12 sierpnia 1954, jest żonaty i ma siedmioletniego syna i że jego „rozbierane" zdjęcia zamieszczał magazyn „Playgirl". Ale na „portret" ma u nas niewielkie szanse. Jak zawsze cieszymy się z nowych Czytelników, ale dla rubryki radość podszyta bywa kłopotem, bo z reguły proszą o aktorów którzy właśnie niedawno, zawsze jednak ZANIM zaczęli kupować nasze pismo, byli prezentowani. Nie możemy w kółko, naprawdę! Clinta Eastwooda w kapeluszu też już pokazywaliśmy, wyprzedzając prośbę Magdy Ł., więc na jego zdjęcie w hełmie trzeba będzie trochę poczekać.

★ EXCALIBUR

Kilkakrotnie ekranizowana uprzednio w formie konwencjonalnych dramatów kostiumowych, tym razem utrzymana w czystym stylu *fantasy* opowieść o królu Arturze, czarnoksiężniku Merlinie, nieszczęśliwej miłości Lancelota do królowej Ginewry, o rycerzach Okrągłego Stołu poszukujących Świętego Graala i Pani Jeziora darowującej najdzielniejszemu czarodziejski miecz Excalibur. Boorman oddaje hołd jednemu z najpiękniejszych mitów kultury europejskiej, zarazem pokazując jak epokę panowania siły i przemocy zastępuje epoka gnuśności i podstępu; zło nie znika, tylko zmienia formę. Piękne i potężne widowisko. (mp)

EXCALIBUR R: John Boorman. W: Nicol Williamson, Nigel Terry, Helen Mirren. GB; 1981; 136'; ITI.

Nigel Terry

★ BAJA OKLAHOMA

Młodość minęła, a Juanita wciąż stoi za barem w rodzinnym miasteczku w Teksasie. Na domiar złego ukochana córka odeszła z wędrownym handlarzem narkotyków. Ale pewnego dnia wraca na pogrzeb ojca Slick. Jemu też niezbyt się w życiu powiodło – i on ma za sobą dwa nieudane małżeństwa.

Stereotypową, ale ubarwioną pogodnymi obserwacjami obyczajowymi opowieść o miłości ubrano tym razem w dekorację muzyki country, na ekranie pojawiają się nawet Emmylou Harris i Willie Nelson. Tytuł filmu jest zarazem tytułem piosenki napisanej przez Juanitę – to tędy powiedzie ją reżyser ku satysfakcjonującej samorealizacji. A widzowie powinni się czuć pokrzepieni: nigdy nie jest za późno, jeśli się wierzy w siebie, no i spotka właściwego człowieka. (ed)

BAJA OKLAHOMA. R: Bobby Roth. W: Lesley Ann Warren, Peter Coyote, Swoosie Kurtz, Billy Vera. USA, 1988. 100'. ITI.

Peter Coyote i Leslie Ann Warren

Dla dzieci

Z blisko trzydziestu kaset, dostępnych w oficjalnym obiegu, zwraca uwagę seria „Hanna–Barbera przedstawia", licząca już kilkanaście części. W każdej po kilka odcinków seriali znanych z TVP (Huckleberry; Pixie, Dixie i kot Jinx; Flintstonowie) oraz pozycje nowe: Jetsonowie – parodia filmu SF, Scrabby i Scooby-Doo – parodia horroru w konwencji kina rodzinnego oraz kot Tip–Top – romans łotrzykowski dla najmłodszych. Pod względem realizacyjnym jest to animacja najprostsza, przystosowana do małego ekranu. Poziom filmów nierówny – obok pozycji błyskotliwych utwory dość hermetyczne, nieczytelne z powodu braku znajomości kontekstu, w jakim powstały.

Kasety Hanna–Barbera prezentują standardową produkcję wytwórni, zaś kasety Warner Bros. pełne są filmów wyróżnionych Oscarami. Cechuje je żywsze tempo, wierność burleskowej tradycji, black-out, ale i pewna hałaśliwość. Połączone w tematyczne składanki nie tylko przybliżają postacie z Warnerowskiego panteonu, ale i – co nie jest bez znaczenia – samą technikę animacji.

Filmy brytyjskie, zwłaszcza realizowane przez Chrisa Randalla, charakteryzują się łagodniejszą formą, żywszą kolorystyką, przywiązaniem do typowo brytyjskiego humoru i wiernością wzorom literatury dziecięco–młodzieżowej. Danger Mouse to przecież krzywe odbicie Sherlocka Holmesa o ambicjach Jamesa Bonda, błazen Jester okazuje się kosmitą na usługach króla Artura, zaś hrabia Kaczula jest kaczym odpowiednikiem Draculi. Każdy temat prowadzony jest z wdziękiem, nawet wówczas gdy – jak w przypadku misia Paddingtona – obiektem kpiny ma być brytyjska ksenofobia. Warto podkreślić, że filmy Randella także zostały wyróżnione nagrodą: Akademii Brytyjskiej.

Obok wymienionych wyżej dostępne na kasetach są zestawy animowanych filmów polskich (także filmy pełnometrażowe – np. „Porwanie w Tiutiurlistanie", „Dawid i Sandy", „Przygody małego rycerzyka"), a od niedawna do grona kreskówkowych bohaterów dołączyli klown Bozo oraz Flip i Flap, wykreowani przez Larry'ego Harmona. Bozo mocno tkwi w tradycji cyrku i burleski, Flip i Flap występują w filmikach inspirowanych krótkometrażówkami Hala Roacha. W obu przypadkach mamy do czynienia z poetyką komiksu – z takąż kreską i typem humoru. (kjz)

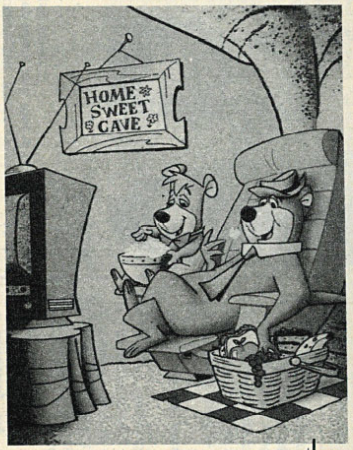

Oto nie omawiane dotąd filmy animowane w oficjalnym obiegu.

ZWARIOWANE PODRÓŻE KRÓLIKA BUGSA (Warner Bros. Cartoons Golden Jubilee 24 karat Collection: Bugs Bunny's Wacky Adventures). R.: Chuck Jones i inni. USA, 1985. 56 min. ITI.

24-KARATOWA KOLEKCJA FILMÓW ANIMOWANYCH (Warner Bros. Cartoons Golden Jubilee 24 karat Collection: Sylvester Tweety's Crazy Carpers). R.: Friz Freleng. USA, 1985. 56 min. ITI.

KACZOR DAFFY: SZALEŃSTWO TRWA (Daffy Duck's: The Nuttiness Continues). R.: Chuck Jones i inni. USA, 1985. 56 min. ITI.

HRABIA KACZULA cz. I–II (Count Duckula, Count Duckula: The Vampire Strikes Back). R.: Chris Randall. Wielka Brytania 1987–88. 60 + 60 min. ITI.

PRZYGODY ALIASA (Alias the Jester). R.: Chris Randall, Wielka Brytania 1985. 52 min. ITI.

HANNA–BARBERA PRZEDSTAWIA. 16 x ca 110 min. PP „Polskie Nagrania".

KLOWN BOZO (Bozo). Real.: Larry Harmon. USA, 1952–55. 6 x 80 min. Video Rondo.

FLIP I FLAP (Laurel and Hardy). Real. Larry Harmon. USA, 1950–55. 2 x 80 min. Video Rondo.

MIŚ PADDINGTON Real. Glenn Whitling. Wielka Brytania, 1986. 75 min. Eastern Communications.

ZŁA KREW

Pechowy rzezimieszek i psychopatyczny morderca zostają pochowani we wspólnym grobie; za sprawą magicznego pierścienia zmartwychwstaną w jednym ciele, którym kierować będą na przemian.

Obrzydliwa i krwawa bzdura zrobiona w przekonaniu, że akcesoria horroru pogodzą się z komediową fabułą. (ed)

BLOOD NASTY. R: Robert Strauss i Richard Gabai. W: Linnea Quigley, Catherine McGuinness, Tod McCammon, Allison Barron, Richard Gabai, Troy Donahue. USA 1989. 77'. APF i Silesia Film.

POBORCA NADCHODZI

Młody, ambitny prawnik z Ohio kupuje hollywoodzką firmę trudniącą się doradztwem podatkowym. Ale wszystko jest tu naznaczone odrobiną szaleństwa, rzeczywistość drastycznie różni się od wyobrażeń bohatera. Brawurowo i zabawnie zawiązana akcja zbyt szybko zmierza ku sensacyjnym stereotypom. Możliwości pomysłu nie zostały wykorzystane. (ed)

TAX SEASON. R: Tom Law. W: Fritz Bronner, James Hong, Jana Grant. USA 1988. 90'. APF i Silesia Film.

FILM – magazyn ilustrowany. PL ISSN 0137-463X. INDEKS: 35806.
Redaguje Zespół. Redaktor naczelny: Maciej Pawlicki (tel. 45-53-25). Adres redakcji: ul. Puławska 61, 02-595 Warszawa. Tel. 45-40-41 w. 112, 116, 45-46-51, 45-39-08.
Wydawca: Warszawskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Al. Jerozolimskie 125/127, 02-017 Warszawa, tel. centrali 28-52-31.
Druk: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Okopowa 58/72, 01-042 Warszawa.
Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo ich skracania.

Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklamy Prasowej i Ogłoszeń, ul. Poznańska 38, 00-689 Warszawa, tel. 29-83-28, 28-86-41, fax: 28-61-36, telex 814461, 814462, 814463, 814464. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń.

1990.11.11, NR 45 przekazano do drukarni 19 i 30 października 1990. Zam. 1272.

ZDJĘCIA: Amica, M. Bonk, Ciné Revue, ITI, W.J. Marczewski, T. Mandziewski, J. Ostałowski, R. Pajchel, R. Sumik, Der Spiegel, arch.

Kinorama

FAKTY

W serialu telewizyjnym „Star Trek" i w filmach kinowych z tego cyklu William Shatner był komendantem statku kosmicznego Enterprise. Nie znalazł dla siebie miejsca w nowej serii „Star Trek" wyświetlanej właśnie w naszej TV, rozpoczął natomiast karierę pisarską jako autor książki SF (trudno, żeby to był inny gatunek!) zatytułowanej „Tekwar". Powieść stała się bestsellerem. Shatner powraca także na ekran w filmie „Głos planety" (The Voice of the Planet), poświęconym ochronie środowiska naturalnego – znowu w ujęciu SF. Po cichu marzy o musicalu – z Marlonem Brando w roli głównej.

*

Po raz pierwszy w historii ekipa Mosfilmu kręci film w Hollywood. Nowojorskie, rozgrywające się w roku 1916 sekwencje filmu „Bucharin: wróg ludu" Leonida Mariagina powstają w dekoracjach słynnej Tenement Street studia Warner Bros. Rolę Bucharina gra Aleksander Romancow, Trockiego – Lew Lemke. Scenarzysta Wiktor Diomin mówi: *Bucharin chciał, żeby chłopi byli bogaci, a więzienia puste – i to zbliża go do czasów Gorbaczowa.* A więc – korzenie pierestrojki!

*

Podobno każde dziesięciolecie musi mieć „swój" film muzyczny. W latach sześćdziesiątych był nim „West Side Story", w siedemdziesiątych „Hair", w osiemdziesiątych – chyba „Dirty Dancing". Jako „musical lat dziewięćdziesiątych" reklamuje się już powstający dopiero w Nowym Orleanie film „Hot Steps" baletowo-spiewaną opowieść o rywalizacji dwóch tancerzy, zakochanych w rosyjskiej balerinie. Ale trudno z góry przesądzać. Wśród wykonawców: **Lindsley Allen, Kirk Rivera i Diane Granger (na zdjęciu).**

Fot. Ciné Revue

Richard Chamberlain

Fot. Amica

LUDZIE

Przyjazny głos w słuchawce

Richard Chamberlain powiedział w wywiadzie dla „Le Figaro" co sądzi o życiu i świecie.

● **Zwracamy się do specjalisty: czym jest sukces?**

– Najpierw to coś wymarzonego i nieosiągalnego. Jeszcze kilka lat temu mówiłem: „Sukces to popularność, sława i pieniądze". Dziś używam innej definicji: „Sukces oznacza, że jest się zdolnym do robienia tego, z czego można być dumnym". Tak, dobra robota to mój główny cel.

● **Czy sukces i szczęście idą w parze?**

– Sukces sprawia, że stajemy się osobami publicznymi. Natomiast szczęście to coś najbardziej osobistego, intymnego. Powiedziałbym więc, że tym, czego szukam i co nieraz udaje mi się znaleźć jest szczęście profesjonalne.

Z Gryan Thayer w „Doktorze Kulani"

● **Czy jest pan szczęśliwy?**

– O, tak. Uważam swoje życie za interesujące.

● **Co by pan robił nie będąc aktorem?**

– Z pewnością wybrałbym zawód, który wymaga pracy rąk, a więc malarza lub rzeźbiarza. Zajmuję się tym po amatorsku.

● **Pańskie najlepsze wspomnienia aktorskie?**

– W kinie – film Petera Weira „Ostatnia fala", a w teatrze – „Cyrano de Bergerac". Miałem możność zagrać w tej sztuce w doskonałym angielskim przekładzie.

● **Czy jest pan wierzący?**

– Wątpię w większość tego, w co ludzie wierzą. W gruncie rzeczy wiara jest mi obca. Liczy się tylko to, czego doświadczamy, a więc miłość, Bóg.

● **Czym się pan kieruje w życiu?**

– Po prostu kocham życie. Ciekawi mnie co mi przyniesie kolejny dzień. Mam wielu przyjaciół. Aktor, który podróżuje, potrzebuje trwałych przyjaźni. Na drugim końcu świata słyszę w słuchawce głos pytający: „Kiedy wrócisz do domu?" i jestem wzruszony. Mam już ponad 50 lat...

● **I to jest panu niemiłe?**

– No cóż, nie jestem już tak sprawny, ale poza tym wszystko układa się doskonale. A śmierć? To mi się nigdy nie przydarzy.

● **Jest pan Anglikiem?**

– Tak, ale z domieszką krwi francuskiej, niemieckiej i indiańskiej. Moja matka wyglądała jak typowa Indianka.

PERSPEKTYWY

Z satelity bez talerza

Nasze zacofanie może zaowocować... skokiem technologicznym. Omijając kosztowny etap telewizji satelitarnej i kablowej, wejdziemy – być może – w fazę wielokanałowej telewizji bezprzewodowej. Jest to wynalazek amerykański, zaprezentowany na niedawnej wystawie telekomunikacyjnej w Warszawie przez firmę The Wireless Group w Manassas w Virginii. Instalacja lokalnej, 12-kanałowej sieci odbiorczej trwa ledwo sześć miesięcy i kosztuje ułamek tego, co kosztowałoby pokrycie identycznego terenu siecią kablową, bądź też instalowanie odpowiedniej ilości anten satelitarnych do indywidualnego odbioru. Wystarczy tylko zbudować „główną stację końcową" odbierającą sygnały z jednego lub kilku satelitów. Stacja rejestruje emitowane z satelitów programy, a następnie komponuje program lokalny, dodając do nich materiały zarejestrowane na miejscu bądź też odebrane z sieci krajowej. Lokalny program przesyłany jest następnie nie za pomocą kabla, lecz wielokierunkowych przekaźników mikrofalowych; sygnał taki odbierać można za pomocą bardzo prostej i taniej anteny zbiorczej. System może być własnością państwa, albo prywatnego przedsiębiorstwa, wcale nie specjalnie zamożnego. W jednej miejscowości może też istnieć więcej niż jedna sieć tego rodzaju.

PREMIERY

Dwie gwiazdy w barszcz

Okazuje się, że nie tak łatwo odnowić gatunek „błyskotliwej komedii", opartej na duecie gwiazd. W dzisiejszym kinie gwiazd nie brakuje, zwłaszcza w Hollywood, kłopot jednak z tym, że rzadko godzą się na udział w duecie na równych prawach. Zawsze ktoś chce przewodzić. W krytyce amerykańskiej używa się hasła „chemistry", innymi słowy „związek chemiczny" na określenie tajemniczego porozumienia, które na ekranie łączyło na przykład Katharine Hepburn i Spencera Tracy. To hasło nie pada jednak w omówieniach filmu „Bird on a Wire" (Francuzi oddają ten amerykański idiom zwrotem „Jak ptak na gałęzi", więc niech tak zostanie). Jest to film spreparowany dla dwóch wielkich gwiazd – Goldie Hawn i Mela Gibsona. Goldie gra adwokatkę, która spotyka swoją dawną sympatię z lat sześćdziesiątych. Obok miłości łączyła ich wówczas wiara w rewolucyjne ideały. Przyszła stabilizacja, z głów wywietrzało, zresztą chłopak zniknął – jak się teraz okazuje chroniły go władze jako świadka, który narażał życie godząc się na udział w procesie przeciwko mafii. Okres ochronny minął, mafia nie zapomniała i teraz Mel wraz z Goldie muszą uciekać, co po wielu strzelaninach i akrobacjach doprowadza do szczęśliwego finału w... ogrodzie zoologicznym. Film Johna Badhama jest oczywiście „romantyczną komedią akcji" i można byłoby mu wybaczyć liczne nieprawdopodobieństwa, gdyby oferował coś więcej niż mechaniczną rozrywkę. Ale cud nie nastąpił. Goldie Hawn prezentuje arsenał min, gestów i uśmiechów, Mel Gibson – wcale nie mniejszy. Zdaniem surowych krytyków trudno uwierzyć, żeby tę atrakcyjną parę łączyło cokolwiek przedtem i cokolwiek głębszego miało połączyć potem. *To nie jest film – to produkt* pisze David Ansen. Kryterium profesjonalizmu przestaje dziś wystarczać.

Goldie Hawn i Mel Gibson

... duet w niebezpieczeństwie

OP DUSTING SERVICES